W NUMERZE: Sylwetka Leona Koczaskiego ■ Rozumienie historii ■ Wspomnienia Walentyna Katajewa ■ „Stomil" dla turysty ■ Ryba na pięć liter... ■ Proza Ludwika Świeżawskiego ■ Wieża Babel ■ Podwójny jubileusz „Empiku" ■ Idol małego ekranu

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź

odgłosy

NR 33 (1079) ROK XXI 13 SIERPNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Foto: K. Turowski

KONRAD TUROWSKI

MARSJANIE W EMILCINIE

Domniemane lądowanie istot pozaziemskich w Emilcinie koło Opola Lubelskiego wreszcie zepchnęło z pierwszych stron gazet tradycyjne już w czasie kanikuły doniesienia o potworze z Loch Ness. Niesamowita opowieść 71-letniego Jana Wolskiego dostarcza wprost nieograniczonych możliwości do snucia najbardziej zaskakujących domysłów i hipotez podbudowanych naukową frazeologią. Może w końcu jednak wniesie coś konkretniejszego proponowana realizacja inscenizowanego reportażu: Przebrani aktorzy, w kostiumach odpowiadających opisowi zawartemu w opowieści sędziwego rolnika, mają nagle stanąć w progu jego chaty krytej strzechą i obcesowo zapytać: — No i co, panie Wolski? Gdzie są nasi koledzy o których pan tak chętnie wszystkim opowiada?!...

Nim dojdzie do takiej sceny przedstawiam reportaż z pierwszej ręki. Bo to właśnie moje informacje, publikowane w „Kurierze Polskim", zwabiły do Emilcina tak licznych kolegów po piórze, a nawet całe ekipy telewizyjne i filmowe wsparte konsultantami naukowymi. Przekonali się, że Jan Wolski mówi prawdę, ściślej — wierzy w to, co mówi. Ale nikt dotąd nie potrafi udowodnić, że historia, o której opowiada, zdarzyła się naprawdę...

A więc miłej, wakacyjnej lektury!

K.T.

— Szwagra syn do mnie przyleciał i woła: „Wujek, Wolskiego chcieli Marsjanie porwać..." — mówi sołtys we wsi Emilcin w gminie Opole Lubelskie, Kazimierz Maciąg. 71-letniego Jana Wolskiego wszyscy znają. Przecież urodził się w Emilcinie i wychował. Najstarsi pamiętają, że u starego Wolskiego było czternaścioro dzieci. Rozpierzchły się po świecie. Tylko najmłodszy, Janek, został na ojcowiźnie. W 1935 roku wziął sobie żonę z Franciszkowa. Przed wojną furmanił, miał cztery konie, dorobił się siedmiu krów. Wojna wszystko zrujnowała, po wyzwoleniu trzeba było zaczynać od nowa Teraz ma 6 hektarów ornej ziemi i kawałek łąki z olszynami i brzezinami. W zeszłym roku kupił trzyletnią klaczkę, dał 30 tys. złotych. Akurat wtedy konie były drogie, ale musiał kupić — poprzednia trzy razy padała i weterynarz powiedział, że za czwartym razem nie wstanie.

Sołtys w marcu wygrał wybory wiejskie. Jest ojcem pięciorga dzieci. Wszystkie się kształcą. Dorabia więc jako dozorca nocny w Opolu. Dojeżdża rowerem siedem kilometrów. Powiada, że „tak na byle co nie da się nabrać". Ma pojęcie o życiu i świecie. W wojsku służył w artylerii przeciwlotniczej, widział rozmaite instrumenty „do mierzenia na odległość". W telewizji chętnie ogląda rozmaite programy naukowe o Kosmosie i różnych sprawach pozaziemskich. Ale nie potrafi rozstrzygnąć czy Wolski rzeczywiście przeżył to, o czym opowiada. — Skoro tak Wolski mówi, może i tak było — powiada z wyraźnym zakłopotaniem.

Dalszy ciąg na str. 8

TOMASZ SOLDENHOFF

DLA KOGO TEN SAMOCHÓD?

Gdy w 1974 roku uruchamiano seryjną produkcję „Tarpana" — samochodu, który miał na polskiej wsi zastąpić konia, nikt chyba nie przypuszczał, że już w pół roku później jego głównym odbiorcą nie będzie wieś.

Z 660 samochodów dostarczonych „AGROMIE" do połowy 1974 roku sprzedano 540, ale tylko 34 trafiły do indywidualnych rolników. Z samochodu przeznaczonego pierwotnie wyłącznie dla rolnictwa coraz liczniej zaczęły korzystać przedsiębiorstwa i służby remontowe, budowlane, geodezyjne, wodociągowe, energetyczne i inne, niewiele albo zgoła nic nie mające wspólnego z rolnictwem. Zainteresowała się „Tarpanem" również wszelkiego rodzaju „prywatna inicjatywa". Przybywało więc „Tarpanów" na ulicach miast, a i na wsi służyły one przede wszystkim nie rolnikom i hodowcom, lecz mleczarniom, kółkom rolniczym, PGR, służbom weterynaryjnym...

A przecież „Tarpan" miał być najpierw dla indywidualnych rolników... Czyżby nie trafił w ich oczekiwania. „nie chwycił"? A może po prostu, jak to u nas często bywa, zawiniła reklama, może nie na czas i nie do wszystkich zdążono z informacją?

Z faktów podanych przez dyrektora Fabryki Samochodów Rolniczych — **Andrzeja Bobińskiego** — w wywiadzie dla **„Życia Warszawy"** z marca 1977 roku wynika, że reklamę i zainteresowanie miał „Tarpan" zupełnie wystarczające, jak na możliwości fabryki.

„Dziesięć tysięcy amatorów „Tarpana" czeka w kolejce po dokonaniu przedpłat — stwierdził dyr. A. Bobiń-

Dalszy ciąg na str. 6

ZBIGNIEW S. NOWAK

DZIAŁAĆ KONKRETNIE...

To, czego dokonano w **Zgierskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Zeta"** w ciągu niespełna dwóch lat, określa się niemalże mianem cudu gospodarczego, nie tylko w branży, ale i w znacznie szerszej skali. O co chodzi? Otóż w ciągu tych dwóch lat z branżowego „kopciuszka" wyrósł potentat, jakich w tej dziedzinie przemysłowej u nas niewiele.

Oto kilka danych. Niezbyt wielka, bo ledwie dwutysięczna załoga **„Zety"** produkuje obecnie ponad 700 tys. wysokiej klasy garniturów męskich rocznie. Do tego ok. 2 mln szt. poszukiwanej bielizny pościelowej. To daje **„Zecie"** trzecie—czwarte miejsce w branży; wyprzedzają ją tylko wielkie przedsiębiorstwa wielozakładowe, o znacznie większym technicznym potencjale produkcyjnym i liczniejszej załodze. 55 proc. produkcji **„Zeta"** eksportuje do ZSRR, USA, Szwecji, Danii, Norwegii i kilku krajów Bliskiego Wschodu; w tym ok. 70 proc. stanowią właśnie garnitury męskie — specjalność zgierskich zakładów.

Tyle danych na wstępie. Dodajmy, że osiągnięcia te uzyskano w bardzo krótkim, jak na nasze warunki, okresie czasu, dokonując w produkcji wielkiego skoku ilościowego i przede wszystkim jakościowego. To właśnie wysoka jakość wyrobów **„Zety"** decyduje o tym, że są one poszukiwane nie tylko na rynku krajowym, ale i wielu zagranicznych, dosłownie rozchwytywane przez handlowców na różnego rodzaju giełdach i przetargach, a ze sklepów znikają jak przysłowiowa kamfora. Popyt znacznie przewyższa podaż!

Jeszcze jeden fakt może świadczyć o wysokiej klasie szytych w **„Zecie"** garniturów. Otóż zakłady szyją także, choć w niewielkiej skali, tzw. odzież miarową, tzn. garnitury na miarę dla indywidualnych klientów, jak np. prywatny krawiec. Garnitury piękne, tyle że z terminami są spore kłopoty. Na uszycie takiego garnituru trzeba się „zapisywać" z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, tak długa jest kolejka chętnych! Nie pomogą żadne znajomości, swoje trzeba odczekać (sam próbowałem). To ma swoistą wymowę.

Jakim to sposobem w bardzo krótkim okresie czasu osiągnięto takie sukcesy? Oto jest pytanie!

Nad bramą **Zgierskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Zeta"** widnieje hasło: **„Lepszą przyszłość wykuwamy na każdym stanowisku pracy".** Hasło piękne, ale jak wygląda jego realizacja? Jaka jest relacja między piękną teorią a codzienną praktyką, wyznaczaną szybkim rytmem taśmy produkcyjnej?

Pytania to zasadne i oczywiste, wymagające — wobec ogólnikowości deklaracji — szczegółowych, bardzo konkretnych odpowiedzi. O takie właśnie odpowiedzi na owe pytania poprosiłem przedstawicieli **„Zety"** na spotkaniu w zakładzie. W spotkaniu uczestniczyli: dyrektor techniczny — **Czesław Rusin**, główny ekonomista — **Zygmunt Leduchowski**, główny specjalista d/s pracowniczych — **Zdzisław Milczarek**, główny mechanik — **Andrzej Michalski** i I sekretarz KZ PZPR — **Zygmunt Bartczak.**

C. RUSIN: — Jak my rozumiemy owo budowanie lepszej przyszłości? Jakie cele stawiamy przed załogą? Po prostu jak najlepiej pracować, robić dobrą produkcję, osiągać wysoką wydajność i wysoką jakość wyrobów. Np. produkowane u nas ubrania muszą być modne, wygodne, estetyczne, dobre jakościowo, o dużych walorach użytkowych. Jak to osiągnąć, to już jest konkretny problem.

Z. MILCZAREK: — Trzy rzeczy są potrzebne, by można było produkować szybko, dużo i dobrze. Przede wszystkim odpowiednie wyposażenie techniczne, dobra organizacja produkcji, dobre warunki pracy. Następnie potrzebne są dobre surowce i materiały, trzeba więc zadbać o dobrych dostawców, odpowiednich kooperantów. I wreszcie, co u nas jest najważniejsze, dobra załoga. W przemyśle odzieżowym najważniejszy jest człowiek. Tu nie maszyny robią produkcję pod kontrolą człowieka, lecz człowiek przy pomocy maszyn. Bardzo więc liczy się jego ręka, oko, intelekt, zaangażowanie — to wszystko, co czyni dobrego fachowca.

C. RUSIN: — Te wszystkie warunki bezwzględnie muszą być spełnione, jeśli chce się robić dobrą, nowoczesną produkcję. Tak więc przygotowując się do podjęcia takiej produkcji musieliśmy wykonać ogromną pracę na trzech niejako frontach: technicznym, materiałowym i ludzkim. W ciągu dwóch ostatnich lat wymieniliśmy w zakładzie instalacje zasilania i oświetlenia. Wprowadziliśmy tzw. monoklimy, poprawiając znacznie mikroklimat na salach produkcyjnych. Wprowadziliśmy nowy park maszynowy, wymieniając szereg maszyn tradycyjnych na nowoczesne automaty i półautomaty specjalistyczne. Poczyniliśmy szereg usprawnień technicznych i behapowskich przy pomocy naszych racjonalizatorów. Zostały zreorganizowane zespoły szwalnicze, według sprawniejszego, efektywniejszego systemu. Usprawniono transport wewnątrzzakładowy, poprawiono warunki magazynowania gotowych wyrobów. To tyle od strony techniczno-organizacyjnej.

Z. LEDUCHOWSKI: — Zapewniliśmy też sobie dostawę odpowiednich surowców i materiałów, przede wszystkim tkaniny. Dla nas liczą się tylko solidni dostawcy, jak np. zgierski „Zeltor". Materiał do produkcji musimy mieć przecież dobry, w odpowiedniej ilości i w odpowiednim terminie, bo to wszystko jest bardzo ważne. Następna sprawa to odpowiednie wzornictwo. Pracę naszej komórki wzorcującej doprowadziliśmy do bardzo wysokiego poziomu, dzięki wymianie doświadczeń z innymi renomowanymi zakładami odzieżowymi, a w dużym stopniu korzystając z wzorów zagranicznych, stosowanych przy realizacji zamówień eksportowych.

C. RUSIN: — Najwięcej trudności mieliśmy z przygotowaniem załogi. Ale i tu trzeba było działać konsekwentnie. Prowadziliśmy więc masowe szkolenia zawodowe. Trzeba było dokonać odpowiedniej obsady stanowisk produkcyjnych. By uszyć garnitur, trzeba wykonać kilkadziesiąt różnych operacji. Taśma produkcyjna ma więc kilkadziesiąt różnych stanowisk roboczych. To stwarza duże możliwości manipulacji kadrą, tak, by każdy pracownik znalazł się na miejscu, które mu najbardziej odpowiada, na którym radzi sobie najlepiej. Do produkcji każdej nowej partii odzieży odpowiednio przygotowujemy ludzi, szkolimy ich, a poza tym wprowadziliśmy na każdym stanowisku tzw. wzorce, tzn. gotowe, odszyte elementy. Szwaczka może w każdej chwili na taki element popatrzeć, aby zobaczyć, jak co powinno być zrobione.

Z. MILCZAREK: — Kiedy już to wszystko było zrobione, ostro wzięliśmy się za jakość. Gdy człowiek ma już zapewnione dobre warunki pracy, wtedy można i należy stawiać mu wysokie wymagania. Wprowadziliśmy kompleksowe sterowanie jakością. Przygotowanie wzoru, wykrój, szycie oraz prasowanie, magazynowanie i transport — każde ogniwo taśmy produkcyjnej musi pracować bezbłędnie, na najwyższym poziomie! Jak to osiągnąć? Otóż w ubiegłym roku zmieniliśmy regulamin i zasady premiowania za jakość, za zgodą i przy pełnej akceptacji załogi. Przeprowadziliśmy wiele rozmów z ludźmi, zebrań aktywu i zespołów roboczych, podjęliśmy odpowiednie uchwały na KSR. Trzeba było zmobilizować załogę do lepszej pracy, budzić zaangażowanie, kształcić nawyk dobrej roboty. A najlepiej kształci się świadomość nie poprzez hasła, slogany, lecz w oparciu o konkrety. Wtedy ze strony ludzi nie ma pustych deklaracji, lecz konkretna, rzetelna praca. Jakie to konkrety? U nas są bardzo wysokie premie za jakość, do 25 proc. od zarobku. Im lepsza praca tym lepsza płaca. Tak więc nikomu nie opłaca się źle pracować.

Z. BARTCZAK: — Jeśli zaś zespół np. na szwalni nie uzyska odpowiednio wysokiego wskaźnika jakości I gatunku, choćby z winy kilku tylko osób, to cały zespół może nie otrzymać premii. Za każdy błąd, za poprawkę potrąca się 5 proc. premii. To bardzo przemawia do świadomości pracowników! Każdy pilnuje więc nie tylko swojej roboty, ale i kontroluje innych. Bardzo sprawnie działa samokontrola i kontrola międzyoperacyjna. Oprócz tego jest wiele „urzędowych" stanowisk kontrolnych. To przynosi odpowiednie efekty. Każdy pracuje dobrze, bo chce i dobrze zarobić. Przy tym dobrą pracę premiujemy nie tylko finansowo, ale także np. przyznawaniem miejsc na wczasy w pierwszej kolejności, udziałem w różnych atrakcyjnych wycieczkach, imprezach rekreacyjnych, kulturalnych, pewnymi świadczeniami socjalnymi itd. A więc za dobrą pracę dobra zapłata. Za konkretną robotę konkretny zysk. Cały nasz system kontroli i premiowania jest przy tym jawny, realizowany przy udziale całej załogi. Każdy pracownik wie doskonale, co za co, ile za ile, kto zasłużył na wyróżnienie, a kto nie. Bo tu się operuje konkretami.

Z. LEDUCHOWSKI: — To wszystko przyniosło konkretne, znakomite efekty. Kiedyś mieliśmy sporo kłopotów z jakością. Były reklamacje rynkowe, eksportowe. Obecnie wskaźnik I gatunku dla szytych u nas garniturów wynosi 96,3 proc. i ciągle wzrasta. Ilość reklamacji zmalała do 0,6 proc. Ponad 90 proc. naszej produkcji to tzw. nowości. Ilość produkcji ze znakiem jakości wzrosła do 21,5 proc., a jeszcze w ubiegłym roku wynosiła tylko 16,9 proc. Zostaliśmy zwolnieni z odbioru jakościowego „Polcargo" w eksporcie i na rynku krajowym. Jakość naszych wyrobów jest coraz wyższa, przy zwyżkujących jednocześnie wskaźnikach ilościowych. Wystarczy powiedzieć, że tempo produkcji jest u nas prawie dwukrotnie wyższe niż np. w renomowanych Bytomskich Zakładach Odzieżowych, a więc bardzo duże. To są wysokie, konkretne osiągnięcia, na dziś. Jutro będzie jeszcze lepiej.

Z. BARTCZAK: — Dokonanie tak ogromnych zmian w ciągu zaledwie dwóch lat nie było łatwe. Zwłaszcza zmiana ludzkiej świadomości, wykształcenie trwałego nawyku dobrej roboty to sprawa bardzo trudna. Ale u nas dobrze pracuje Samorząd Robotniczy, znakomicie działają organizacje zakładowe, zwłaszcza związkowe. To przede wszystkim Rada Zakładowa jest i motorem, i koordynatorem wszelkich naszych poczynań wiodących do zmian na lepsze. Działacze związkowi własną postawą, wysokim zaangażowaniem, rzetelną pracą dają dobry przykład innym. Jest to najlepsza forma działalności ideowo-wychowawczej wśród załogi.

Z. MILCZAREK: — Nasi pracownicy szybko zostali przekonani o słuszności obranej drogi. Pracują więc coraz lepiej, starają się dać z siebie jak najwięcej, bo każdemu przecież tylko to się opłaca, nie inaczej. Tak właśnie wspólnym wysiłkiem realizujemy to nasze hasło budowy lepszej przyszłości.

Z. LEDUCHOWSKI: — Jeśli tylko się chce, to można zrobić bardzo wiele. A jak? Po prostu mniej wielkich słów, a więcej rzetelnej, uczciwej pracy, dobrej roboty na co dzień, bo to przede wszystkim się liczy w ostatecznym rozrachunku. Trzeba działać konkretnie!

Listy do Redakcji

AJENT NARUSZA STRUKTURĘ

W numerze 10 z dnia 7 maja 1978 r. „Odgłosów" ukazał się artykuł Bogdy Madej pt. „Ajent narusza strukturę" omawiający problematykę rozwoju placówek agencyjnych na terenie Warszawy i Łodzi. Wyrażając podziękowanie za zainteresowanie się problematyką sieci agencyjnej w ogóle, wydaje się, że przyjęta w artykule koncepcja oceny nowych zasad agencyjnych doprowadziła do szeregu nieprecyzyjnych sformułowań, które mogą wywołać u czytelników negatywną ocenę funkcjonowania placówek prowadzonych na nowych zasadach agencji.

Rozumiejąc konieczność krytycznego — ale równocześnie zgodnego ze stanem faktycznym — naświetlenia czytelnikom poruszanej problematyki — Departament Organizacji i Rozwoju MHWiU w oparciu o informację i materiały własne oraz Urzędów Wojewódzkich pragnie wyjaśnić i poinformować, że:

1. Stwierdzenie Autorki, że „Ajent aby otworzyć sklep, musi wykupić od przedsiębiorstwa urządzenia sklepowe oraz zapasy towarów", a następnie „Przede wszystkim musi on dysponować pewną sumą gotówki, bądź kredytu, aby mógł nie tylko wykupić urządzenia sklepowe i zapas towarów" dezinformuje czytelnika ponieważ nie precyzuje jednoznacznie zasad przekazywania punktów sprzedaży detalicznej w agencję. Dla uściślenia podajemy, że przekazanie agentowi wyposażenia i towaru znajdującego się w punkcie sprzedaży może być dokonane na podstawie jednej z dwóch przyjętych zasad tj.:

— pełnej odpłatności gdy agent wykupuje za gotówkę (własną lub uzyskaną z kredytu bankowego) urządzenie sklepowe oraz towar. Należność na wniosek agenta może być rozłożona na 60 rat,

— zabezpieczenia mienia gdy agent wpłaca gotówkę 20 proc. wartości zapasu towarowego w branży spożywczej, a 5 proc. w branży przemysłowej oraz 10 proc. wartości wyposażenia przejmowanego punktu sprzedaży. Jeżeli agent przepracował nienagannie 5 lat w jednostce do której należy placówka, mogą być stosowane dodatkowe ulgi polegające na zmniejszeniu odpłatności za powierzone mienie.

Ponadto zarówno w jednej jak i w drugiej formie agencji wyposażenie sklepu może być dzierżawione agentowi za odpowiednią opłatą dzierżawną.

2. Podane w powołaniu na artykuł „Tyłem do lady" przykłady rzekomej nierealności ustalonych kwot miesięcznej odpłatności nie są zgodne ze stanem faktycznym, co zostało sprostowane w „Polityce" po wyjaśnieniach Departamentu. Ponadto należy stwierdzić, że:

— metoda kalkulowania odpłatności agenta przewiduje uwzględnienie w oparciu o faktyczne wykonanie w 1977 r. z jednej strony przyrostu obrotów i związanych z nimi marż, z drugiej zaś kosztów ponoszonych przez przedsiębiorstwo z tytułu prowadzenia placówki. Nadwyżka stanowiąca różnicę pomiędzy wartością kalkulowanej marży a kosztami, które będzie ponosić przedsiębiorstwo w okresie trwania umowy, pozostaje do podziału między przedsiębiorstwo i agenta, przy czym część przeznaczona dla agenta zabezpiecza koszty ponoszone przez samego agenta z racji prowadzenia placówki oraz dochód jako odpowiednik jego płacy. Kalkulacja jest obustronnie negocjonowana i agent może ją w czasie uzgodnień przyjąć lub odrzucić.

3. Podana w artykule informacja, że „Społem" zawiera umowę odnośnie wysokości ryczałtu na 3 lata „Później ryczałt ten będzie obliczony wg nowych zasad do których podstawą będą realizowane obroty miesięczne sklepu agencyjnego" nie odpowiada ustaleniom zawartym w zarządzeniu nr 49/77 MHWiU z dnia 29 listopada 1977 r., z którego wynika, że: umowa z agentem zawierana jest na czas nieograniczony natomiast zryczałtowana odpłatność ustalona jest w kwocie lub wskaźnikiem do obrotu na co najmniej 8 pierwszych lat prowadzenia działalności z tym, że „Na okres trzech pierwszych lat prowadzenia punktu sprzedaży detalicznej, ustala się stawkę zryczałtowaną odpłatności kwotowo. Stawka nie może być podwyższona w przypadku przekroczenia wysokości obrotów przyjętych za podstawę jej wymiaru", natomiast „Na następne okresy 5-letnie stawka ryczałtu określona jest procentowo. Stawki procentowe powinny wynikać z kalkulacji uwzględniającej wzrost obrotów w tych okresach".

4. Stwierdzenie Autorki dotyczące braku kandydatów na agentów w ogóle jak również brak zainteresowania agencją pracowników handlu wynika z tego że ... „Po prostu etatowi handlowcy albo boją się ryzyka, albo tak dobrze znają system działania naszego handlu, że wolą sobie tym nie zaprzątać głowy" nie znajduje potwierdzenia w praktyce. Dla przykładu podajemy rozwój sieci agencyjnej w jednostkach organizacyjnych podległych „Społem" Łódź: — 31. III. 78 r. posiadano 29 placówek agencyjnych prowadzonych na nowych zasadach, — 30. IV. 78 r. posiadano 75, — 31. V. 78 r. posiadano 113, — 30. VI. 78 r. posiadano 238, co w porównaniu z przytoczonym przez Autorkę planem na rok 1978 w wysokości 215 punktów sprzedaży nie wymaga komentarza. Natomiast może zainteresowanie agencją szczególnie w pierwszych miesiącach br. wynikało z przyczyn nieznajomości przepisów w zakresie szczegółowych zasad przekazywania placówek handlu detalicznego na nowe zasady agencji oraz pewnej nieufności kandydatów i oczekiwania na „tego odważnego". W tej sytuacji organizacje handlowe w styczniu i lutym nie były w pełni przygotowane do rozmów z agentami na temat zasad działania placówek, przysługujących uprawnień i omawiania warunków przejęcia placówki z powodu braku kalkulacji finansowych itp.

5. Zamieszczona przez Autorkę informacja, że „mało który" z agentów zatrudnionych wg starych zasad agencyjnych wyraził gotowość przejścia na nowe zasady działalności agencyjnej jest niepełna i nieścisła, ponieważ w „Społem" Łódź do dnia 30 czerwca br. 191 punktów sprzedaży detalicznej przeszło ze starych na nowe zasady agencji na 238 przekazanych w ogóle.

6. Sformułowanie Autorki o potraktowaniu agenta jak intruza w chłodni na terenie Łodzi z powodu braku zaświadczenia upoważniającego do podjęcia rozmów spowodował fakt, niedopełnienia obowiązków wynikających z Zarządzenia nr 49/77 MHWiU przez „Społem" WSS Łódź (załącznik nr 2 do Zarządzenia 49/77 MHWiU § 6), które ustala, że agent dokonuje zakupów towarów w magazynach zleceniodawcy i innych jednostkach gospodarki uspołecznionej na zasadach dotyczących punktów sprzedaży detalicznej prowadzonych bezpośrednio przez zleceniodawcę. Agent jest upoważniony przez zleceniodawcę do dokonywania zakupów i otrzymuje zaświadczenie wg wzoru stanowiącego załącznik nr 3 do szczegółowych wytycznych do Zarządzenia nr 49/77 MHWiU.

7. Odnośnie uwag Autorki skierowanych pod adresem Łódzkich Zakładów Piwowarskich co do żądanej formy zapłaty za towar oraz Monopolu Tytoniowego odnośnie odbioru towarów bezpośrednio przez agenta, Departament Organizacji i Rozwoju MHWiU uprzejmie wyjaśnia, że stanowisko tych jednostek było sprzeczne z obowiązującymi przepisami. Zgodnie z Zarządzeniem nr 49/77 MHWiU agent prowadzi punkt sprzedaży osobiście i na własne ryzyko i jest upoważniony do dokonywania zakupów w magazynach zleceniodawcy i innych jednostkach gospodarki uspołecznionej. Odpowiednie wytyczne w tej sprawie wydał minister przemysłu spożywczego i skupu.

Reasumując Departament Organizacji i Rozwoju MHWiU uprzejmie informuje, że rozwój i działalność sieci agencyjnej jest przedmiotem bieżącej oceny, a obowiązujące przepisy prowadzenia placówek handlu detalicznego na zasadach agencji są doskonalone i uzupełniane po sprawdzeniu ich w praktyce. Departament byłby wdzięczny Redakcji za umieszczenie w Waszym czasopiśmie przytoczonych wyżej wyjaśnień oraz proponuje współpracę w zakresie popularyzowania przykładów funkcjonowania placówek w celu wyjaśnienia kandydatom do przejmowania punktów sprzedaży w agencję — szczególnie w pierwszym okresie wprowadzenia obowiązujących zasad i przepisów w tym zakresie.

MGR TADEUSZ ŚNIADOWSKI
WICEDYREKTOR DEPARTAMENTU

* * *

Wydaje mi się, że pismo Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług wymaga kilku wyjaśnień. Zakradły się bowiem pewne nieporozumienia i nie chciałabym, aby pozostały one nie wyjaśnione przed Czytelnikiem.

Po pierwsze — nie było moim celem precyzowania „zasad przekazywania punktów sprzedaży detalicznej w agencję". Interesował mnie pewien problem społeczny. Zainteresowani przejmowaniem sklepów w ajencję wiedzą, gdzie mogą otrzymać szczegółowe informacje.

Po drugie — Departament Organizacji i Rozwoju MHWiU utrzymuje, że podane przykłady „nierealności ustalonych kwot miesięcznej odpłatności nie są zgodne ze stanem faktycznym". Pismo Departamentu Organizacji i Rozwoju MHWiU nosi datę 13 lipca 1978 roku. W 15 dni później, bo 28 lipca 1978 roku w „Życiu Warszawy" Andrzej Żmuda napisał: „Jeden ze sklepów z warzywami i owocami na Żoliborzu w zeszłym roku przyniósł 3 tys. strat, natomiast WSS skalkulował agentowi na br. zysk... 81 tys. złotych".

Po trzecie — zastanawia mnie fakt, że korzystając z tego samego źródła dysponujemy różnymi danymi. Chyba dyrektor departamentu, mgr Tadeusz Śniadowski nie przypuszcza, że dane o ilości sklepów przekazanych w ajencję zaczerpnęłam z sufitu. Nie do mnie należy wyjaśnianie tych spraw. A w ogóle wydaje mi się, że problem sklepów ajencyjnych inaczej widzi Ministerstwo, inaczej dziennikarze, badający przecież sprawy. Wspomniany Andrzej Żmuda napisał w „Życiu Warszawy": „Niektóre nadzieje nie spełniły się, że wymienię na ogół brak większego zainteresowania przejmowaniem sklepów przez pracowników handlu spółdzielczego czy państwowego".

Jeśli chodzi o propozycję współpracy w interesującej nas sprawie, to chętnie jeszcze do tematu sklepów ajencyjnych wrócę.

BOGDA MADEJ

„REGAŁ PEŁEN BUBLI"

W związku z notatką prasową, zamieszczoną w Waszej gazecie nr 23 w dniu 4 czerwca 1978 r., uprzejmie wyjaśniamy:

W czasie produkcji potokowej występują pewne błędy techniczne, które przy produkcji dużego nakładu są nieuniknione, jednakże nie zwalnia to obsługi linii potokowej, jak i służby kontroli jakości z obowiązku wychwycania braków produkcyjnych przed przekazaniem ich do ekspedycji i sprzedaży.

Za Waszym pośrednictwem chcielibyśmy przeprosić nabywcę wadliwej książki, jednocześnie przesyłamy egzemplarz dobry. W związku z zaistniałym przypadkiem, zostały przedsięwzięte środki zapobiegawcze w celu uniknięcia podobnych błędów technicznych, tak, aby książki produkowane w naszych Zakładach, były dobrej jakości, zadowalając nabywców, jak i naszą załogę.

„ZABANDAŻOWANE DRZEWO"

Z zadowoleniem przyjęliśmy zamieszczoną przez Wasze poczytne pismo — krytykę niewłaściwego stosunku do zieleni na terenie naszego miasta.

Podobnie, jak autor artykułu, uważamy, że niedopuszczalnym jest atakowanie zieleni — drzew do aranżacji przestrzennej, tak, jak to zostało zrobione w pasażu ZMP w „Tygodniu Plastyki Łódzkiej", zaprojektowane przez plastyka Edwarda Łazikowskiego.

Dla potwierdzenia naszego stanowiska informujemy, że Przedsiębiorstwo nasze nie miało ze sprawą nic wspólnego, zarówno nie opiniowało i nie wydawało zezwolenia na omawianą działalność. Wprost przeciwnie, po interwencji mieszkańców, decyzją Dyrektora, dekoracja z drzewa została usunięta przez naszych pracowników. Opinie w sprawie zieleni (zajęcie terenu, zorganizowanie imprez), wydawane są przez nasze Przedsiębiorstwo na piśmie — a w odniesieniu do dzielnicy Śródmieście, muszą być akceptowane przez Urząd Dzielnicowy, który w oparciu o nie, decyzję — zezwolenie — wydaje. Nadmieniamy, że tego rodzaju formy plastyczne są wybitnie niekorzystne w odniesieniu do zieleni i w związku z tym w żadnym wypadku nie powinny być stosowane.

Przykry jest jednak fakt, że mylne i niepełne informacje stanowią podstawę wydawania takiej opinii o działalności Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, jaki miał miejsce w w.w. artykule. Pragniemy dodać, że o wyjaśnienie sprawy zwróciła się do nas Straż Ochrony Przyrody i Związek Polskich Plastyków.

Wyjaśnienie przesłano również do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

inż. MARIAN KOTKOWSKI
(z-ca dyr. d.s. technicz.)

NOWE PRZEKŁADY

W majowym numerze „Połymia" (Płomień), miesięcznika Związku Pisarzy Białoruskich, ukazały się trzy opowiadania Antoniego Kasprowicza pod ogólnym tytułem: „W dawnej Łodzi". Przełożył znakomity prozaik białoruski Janka Bryl.

W Mińsku ukazał się właśnie kolejny numer rocznika „Dalahlady" (Horyzonty), poświęconego tłumaczeniom z literatur republik radzieckich oraz z literatur innych krajów. W dość obszernym tomie znajdujemy m. in. kilka wierszy Wisławy Szymborskiej, poprzedzonych entuzjastycznym przedsłowiem tłumaczki, Niny Maciasz, o parę zaś stron dalej opowieść Jana Huszczy „Matylda" — również w przekładzie Janki Bryla.

KONKURS

W listopadzie bieżącego roku odbędzie się w Bydgoszczy Ogólnopolski Festiwal Sztuki pod hasłem **„Fakt artystyczny — a rzeczywistość'**, który będzie kontynuacją podobnej imprezy sprzed trzech lat. Celem festiwalu ma być próba oceny pewnych dziedzin dorobku artystycznego, a przede wszystkim ukazanie społecznego sensu sztuki, wszechstronna konfrontacja doświadczeń twórców z przemianami rzeczywistości społecznej, zachodzącymi w Polsce Ludowej.

Z okazji Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki, Komitet Organizacyjny ogłasza konkurs na reportaż, opowiadanie i utwór poetycki.

Organizatorzy nie ograniczają objętości reportaży (choć nie powinny przekraczać 15 str. maszynopisu), ani nie określają ściśle kręgu tematycznego. Z zainteresowaniem natomiast oczekują prac uwzględniających przemiany społeczno-obyczajowe i kulturowe, stosunki między ludźmi; problemy nurtujące różne środowiska społeczne i zawodowe, trudności „wzrostu" — próby ich pokonywania; sprawy szeroko pojętego awansu — procesy zmian w sferze świadomości jednostki, zakładu, wsi, środowiska.

Reportaże powinny ukazywać życie ludzi — na obszarze Polski Północnej, ze szczególnym uwzględnieniem Pomorza i Kujaw — w pełnym obrazie naszej polskiej współczesności.

Jury przyzna następującą nagrody:

za reportaż
I — 10.000,— zł
II — 8.000,— zł (dwie)
III — 5.000,— zł (dwie) oraz trzy wyróżnienia po 3.000,— zł

za opowiadanie
I — 12.000,— zł
II — 8.000,— zł (dwie)
III — 5.000,— (dwie) oraz trzy wyróżnienia po 2.000,— zł

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Leon Koczaski

MAREK PAWŁOWSKI
JACEK SZCZEPANIAK

LEON KOCZASKI

Leon Koczaski (pseudonim „Bolek") urodził się 24 maja 1913 r. w Łodzi w rodzinie robotniczej. Dzieciństwo i młodość spędził na Karolewie. W tej robotniczej dzielnicy, w atmosferze trudnych lat biedy, bezrobocia, kryzysu ekonomicznego i zaciętych walk klasowych, zaczynały się kształtować jego osobowość i światopogląd.

W 1926 r. Leon Koczaski ukończył szkołę powszechną przy ul. Wileńskiej 35 (obecnie ul. Małgorzaty Fornalskiej). Dzięki wyrzeczeniom rodziców, którzy marzyli o lepszej przyszłości dla syna, kontynuował naukę w Męskiej Miejskiej Szkole Handlowej w Łodzi. Egzamin końcowy zdał w 1930 r. (nie w 1933 r., jak podają autorzy opublikowanych dotychczas artykułów o Koczaskim).

W Szkole Handlowej został członkiem lewicowej organizacji młodzieżowej — Związku Młodzieży Socjalistycznej. W tym też czasie zaczął studiować literaturę socjalistyczną, z wielkim zapałem czytał dzieła Marksa i Lenina. Brał również udział w pracach młodzieżowego klubu robotniczego „Orkan". Kiedy podczas dyskusji politycznych, toczonych w klubie, czynniki oficjalne usiłowały zaszczepić karolewskiej młodzieży poglądy antyradzieckie, Leon Koczaski gorąco bronił pierwszego państwa robotników i chłopów.

Latem 1933 r. Koczaski podjął próbę nielegalnego przedostania się do ZSRR, ale w pobliżu granicy został zatrzymany przez posterunek Korpusu Ochrony Pogranicza. Z braku dowodów skazano go jedynie na trzy miesiące aresztu i wciągnięto do kartotek „politycznie podejrzanych". W więzieniu zetknął się z komunistami i wkrótce po powrocie do Łodzi wstąpił w 1934 r. do Komunistycznej Partii Polski. W tym samym roku kierował już strajkiem robotniczym w oddziale zakładów Allarta, gdzie pracował jako księgowy.

Pod koniec 1934 r. Leon Koczaski rozpoczął służbę wojskową w 4 pułku artylerii ciężkiej, stacjonującym w Łodzi. Wraz z grupą żołnierzy komunistów prowadził w pułku zorganizowaną działalność polityczną. Kolportowali oni w koszarach nielegalne pisma KPP, rozrzucali ulotki, nawołujące do solidarności ze strajkującymi robotnikami, prowadzili agitację ustną wśród żołnierzy. Dopiero po dłuższym okresie tej działalności udało się kontrwywiadowi wykryć dobrze zakonspirowaną grupę. 18 grudnia 1935 r. Wojskowy Sąd Okręgowy w Łodzi wymierzył Koczaskiemu i jego trzem towarzyszom wysokie kary więzienia „za uprawianie propagandy komunistycznej i nawoływanie do nieposłuszeństwa". Leon Koczaski został skazany na 4 lata więzienia, pozbawienie praw obywatelskich na 6 lat oraz wydalenie z wojska.

Wyrok sądowy odbywał Koczaski w Łodzi i Łęczycy. Więzienie stało się dla niego — podobnie jak dla wielu kapepowców — szkołą umysłu i charakteru. Komuniści — pozbawieni praw należnych więźniom politycznym, umieszczani we wspólnych celach z kryminalistami — toczyli uporczywą walkę o prawo do własnych ubrań, do książek, do paczek i widzeń. Wykorzystywali pobyt w więzieniu na zdobywanie wykształcenia i szkolenie polityczne. Leon Koczaski uczył ponadto czytać i pisać osadzonych wraz z nim niepiśmiennych więźniów kryminalnych.

Z więzienia wyszedł Leon Koczaski w 1938 r. wycieńczony i zmieniony fizycznie. Ten wysoki mężczyzna chodził teraz lekko zgarbiony, miał obrzmiałą twarz, cierpiał na dokuczliwą chorobę oczu. Ale zapał, wola walki pozostały w nim niewzruszone; nie zaprzestał działalności politycznej również w trudnym dla polskich komunistów okresie po rozwiązaniu KPP.

Jako były więzień polityczny długo nie mógł znaleźć żadnej pracy. W końcu otrzymał posadę księgowego w spółdzielni „Społem" prowadzonej przez retkińską organizację Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Ta praca umożliwiła Koczaskiemu aktywność polityczną. Brał udział w życiu organizacji, pomagał w opracowywaniu referatów i przemówień, starał się wpływać na radykalizację młodzieży chłopskiej.

W lutym 1939 r. Leon Koczaski zawarł związek małżeński z Magdaleną Banasiak, która pracowała jako szwaczka w zakładach Pilhala (obecnie ZPDz „Femina") i była członkiem KPP. Przeniósł się wtedy z Karolewa do domu jej rodziców w Retkini.

Po napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę Koczaski próbował zgłosić się do służby wojskowej. Obszedł łódzkie urzędy mobilizacyjne, ale nigdzie nie został przyjęty, ponieważ w jego książeczce wojskowej znajdowała się adnotacja o wydaleniu z wojska. 6 września 1939 r. Leon Koczaski — podobnie jak wielu polskich komunistów — wyruszył na pomoc przygotowującej się do obrony Warszawie. Nie dotarł jednak do stolicy. W okolicach Rawy Mazowieckiej dołączył do grupy polskich żołnierzy, wraz z nią dostał się do niewoli i został osadzony w obozie jenieckim. Do Łodzi wrócił 25 listopada 1939 r. i dopiero wtedy dowiedział się, że ma syna.

Od pierwszych miesięcy okupacji Łódź stała się terenem hitlerowskiego terroru, zbrodni, ludobójstwa, akcji eksterminacyjnych i germanizacyjnych, grabieży i wyzysku. W tym najtragiczniejszym w dziejach naszego miasta okresie łódzka klasa robotnicza nie zrezygnowała z walki, na zbrodnie i okrucieństwa hitlerowców odpowiedziała czynem. Komuniści z Retkini przystąpili do walki z okupantem jako jedni z pierwszych.

Przed wojną Retkinia była cichą wioską przylegającą do Łodzi od południowego zachodu. Część mieszkańców utrzymywała się z rolnictwa, a część pracowała w łódzkich fabrykach. W 1936 r. policja odnotowała jako najbardziej skomunizowane wsie w powiecie łódzkim Retkinie i sąsiadujące z nią Rokicie. Najwięcej członków i sympatyków KPP mieszkało w części Retkini zwanej Piaskami. Była to gęsto zabudowana dzielnica robotniczych drewniaków. Wszyscy się tutaj znali, utrzymywali żywe sąsiedzkie kontakty, żyli jak w wielkiej rodzinie.

Od chwili powrotu do Łodzi Leon Koczaski zaczął skupiać wokół siebie dawnych członków KPP z Retkini, Karolewa i Rokicia. Pierwszą zorganizowaną akcją była podjęta przez kilku z nich próba sprawiedliwego rozdziału chleba wśród okolicznej ludności. Późną jesienią 1939 r. Koczaski zredagował i przepisał odręcznie kilka egzemplarzy pierwszej gazetki. Pisał w niej o hitlerowskim terrorze, o grabieży, o egzekucjach i wysiedleniach Polaków.

Na początku 1940 r. z inicjatywy retkińskich komunistów powstała w Karolewskiej Manufakturze jedna z pierwszych w Łodzi fabrycznych grup sabotażowych kierowana przez Bolesława Fausta. W wielu łódzkich zakładach robotnicy — początkowo spontanicznie, potem w sposób coraz bardziej zorganizowany — zwalniali tempo pracy, psuli maszyny, niszczyli surowce i gotowe wyroby. Leon Koczaski odegrał poważną rolę w organizowaniu sabotażu w Retkini i na Karolewie.

Retkiński ośrodek ruchu oporu okazał się najbardziej prężny w Łodzi i stąd już w marcu 1940 r. wyszła inicjatywa zorganizowania centralnego kierownictwa grup sabotażowych. Powstał najpierw Komitet Sabotażowy do Walki z Hitleryzmem, a następnie w listopadzie 1941 r. ogólnołódzka organizacja, która przyjęła nazwę Front Walki za Naszą i Waszą Wolność.

Ideowe i programowe założenia Frontu Walki wytyczone zostały przez komunistów. Organizacja stała na stanowisku zjednoczenia całego narodu w antyhitlerowskim froncie walki o wolną i demokratyczną Polskę. Podkreślała konieczność współdziałania z Armią Czerwoną, walczącą przeciw hitlerowcom i nawiązania po wojnie przyjaznych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Leon Koczaski pełnił w organizacji liczne funkcje: wchodził w skład jej kierownictwa, pisał artykuły do podziemnego pisma, kierował „techniką" i kolportażem, werbował do organizacji nowych członków.

Wiosna 1942 r. dotarły do Łodzi pierwsze informacje o powstaniu w Warszawie Polskiej Partii Robotniczej. Kierownictwo Frontu Walki wydelegowało do stolicy Czesława Szymańskiego, który nawiązał kontakt z Komitetem Centralnym PPR i przywiózł do Łodzi pierwszą odezwę partii wydaną w styczniu. W połowie maja 1942 r. w mieszkaniu Kowalika na Rokiciu odbyła się konferencja z udziałem m.in. Leona Koczaskiego, Ignacego Logi-Sowińskiego, Mieczysława Moczara, Tadeusza Głąbskiego, Stefana Przybyszewskiego, Czesława Szymańskiego i Stanisława Działka. Zebrani postanowili przystąpić do Polskiej Partii Robotniczej, a konferencję uznano za pierwsze organizacyjne zebranie łódzkiej PPR. W połowie czerwca 1942 r. w mieszkaniu Koczaskich odbyła się konferencja z udziałem pełnomocnika KC Aleksandra Kowalskiego. Powołano na niej Łódzki Komitet Obwodowy PPR i Gwardii Ludowej. Leon Koczaski został członkiem komitetu i oficerem sztabu Obwodu Łódzkiego GL.

Leon Koczaski aktywnie działał na terenie Łodzi do końca 1942 r. Odegrał poważną rolę w organizowaniu Dzielnicy PPR — Widzew. Zwerbował do łódzkiej organizacji PPR wielu nowych członków i pomagał im stawiać pierwsze kroki w konspiracji. Łódzcy peperowcy podkreślają w swoich wspomnieniach, że w początkowym okresie ich działalności konspiracyjnej Leon Koczaski był dla nich wszystkim: towarzyszem, przyjacielem, nauczycielem, wychowawcą. Koczaski często był obecny przy odbieraniu przysięgi od nowych członków partii i Gwardii Ludowej. Niekiedy nowo zwerbowani składali tę przysięgę nad grobem zasłużonego działacza KPP, byłego sekretarza dzielnicy Karolew, przedwcześnie zmarłego na gruźlicę w 1937 r. Wacława Głażewskiego, który przeżył zaledwie 31 lat. Leon Koczaski nie mógł wtedy wiedzieć, że nie dane mu będzie dożyć nawet tego wieku.

We wspomnieniach ludzi, którzy znali Koczaskiego przewija się podziw dla jego odwagi i niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo w okresie, kiedy jeszcze nic bliskości tego zwycięstwa nie zapowiadało.

Mały domek w Retkini był wygodnym lokalem konspiracyjnym. Leon Koczaski mieszkał tam z żoną i teściami, bez obcych współlokatorów. Pierworodny syn nie przeżył pierwszej ciężkiej okupacyjnej zimy. W 1942 r. urodziła się Koczaskim córka.

Na początku 1943 r. Leon Koczaski został zatrzymany przez gestapo. Po kilku godzinach przesłuchania hitlerowcy zwolnili go, ponieważ nie dysponowali przeciw niemu żadnymi dowodami poza danymi z kartotek defensywy — antykomunistycznej polskiej policji. Nie mógł już wrócić do domu. Za pośrednictwem Jana Lewandowskiego odwołał zebranie wyznaczone w jego mieszkaniu właśnie na ten dzień i ostrzegł żonę. Od tej chwili Koczaski musiał się ukrywać. W marcu 1943 r. Komitet Obwodowy PPR wysłał go jako łącznika do Poznania, który w strukturze organizacyjnej PPR stanowił część Obwodu Łódzkiego. Koczaski rozwinął tam szeroką działalność zmierzającą do rozbudowy miejscowej organizacji. Jednakże gestapo wpadło na jego trop i tylko dzięki pomocy robotników z zakładów Cegielskiego uniknął aresztowania.

W maju 1943 r. wrócił do Łodzi. Był to szczególnie ciężki okres w dziejach łódzkiej PPR — po masowych aresztowaniach, które miały miejsce w kwietniu. Ciężko chory, z czterdziestostopniową gorączką, ukrywał się w mieszkaniach towarzyszy i w schowku wykopanym pod podłogą własnego domu. Powróciwszy do zdrowia, przedostał się przez granicę do Generalnej Guberni.

Komitet Centralny PPR skierował Leona Koczaskiego na Kielecczyznę. Pełnił tam funkcję sekretarza Komitetu Obwodowego. W listopadzie 1943 r. prowadził rozmowy z przedstawicielami Batalionów Chłopskich w sprawie porozumienia i wspólnej walki. W miejscowości Słaboszewice bandyci z Narodowych Sił Zbrojnych, podając się za bechowców, urządzili zasadzkę. Towarzyszący Koczaskiemu dwaj geelowcy zginęli na miejscu od bratobójczych kul. Leon Koczaski, ciężko ranny w brzuch, zmarł 2 grudnia 1943 r. w szpitalu w Opatowie.

Pośmiertnie został awansowany do stopnia pułkownika. 6 września 1946 r. Krajowa Rada Narodowa nadała mu order Krzyża Grunwaldu II klasy. Imieniem Leona Koczaskiego została nazwana jedna z głównych ulic nowej, zmienionej nie do poznania Retkini.

Foto: Archiwum

Dom Leona Koczaskiego na Piaskach — miejsce zebrań członków PPR i GL.

ROZUMIENIE HISTORII

Nie tak dawno temu wybitny uczony, przewodniczący Komitetu Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk profesor Stefan Kieniewicz zwracał w swym artykule, ogłoszonym na łamach „Polityki" (1977, nr 39) uwagę na niepokojące zjawisko ustawicznego zmniejszania się nakładów ambitnych dzieł historycznych, podnosząc, że z pewnością nie wychodzi to na dobre naszej nauce oraz w dotkliwy sposób ogranicza jej funkcje społeczne. Na potwierdzenie słuszności tej obserwacji można by dać wiele przykładów i nie chodzi mi o to, by zestawiać tutaj ich listę. Chciałbym się jednak zastanowić nad innym zjawiskiem, które jak się zdaje godne jest również zauważenia i zastanowienia.

Otóż nader często dziś się zdarza, że nawet jeżeli książka wydana została w „przyzwoitym" nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy — mówię oczywiście o fachowej książce historycznej, nie pretendującej do dotarcia do rak tak zwanego masowego czytelnika — ze znalezieniem jej w księgarniach mamy nie lada kłopoty.

Oto przykład: nowa, arcyinteresująca ale i zarazem arcytrudna i adresowana przede wszystkim do profesjonalistów książka Jerzego Topolskiego noszącą tytuł „Rozumienie historii", ogłoszona przez Państwowy Instytut Wydawniczy (1978) we wcale sporym nakładzie ponad siedmiu tysięcy egzemplarzy rozeszła się tak szybko, że nie zdołali jej nawet zdobyć wszyscy uczestnicy seminarium metodologicznego, prowadzonego przez jej autora!

Sięgam po inną książkę metodologiczną, wydaną przed ponad dwudziestoma laty — głośne niegdyś dzieło traktujące o obiektywnym charakterze praw historii — które w handlu księgarskim funkcjonowało wówczas długo, a z którego nabyciem jeszcze w parę lat po wydaniu nie było większych trudności. Jaki był jego nakład? Mniej niż pięć i pół tysiąca egzemplarzy — wówczas był to nakład bardzo duży, jak na tego rodzaju pracę. Porównanie nakładów obu prac — jakże nieporównywalnych pod względem swej treści — obu jednak z zakresu metodologii historii, oraz ich księgarskich losów, skłania do zastanowienia. Jakże ogromnie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wzrosło zainteresowanie trudną, metodologiczną problematyką naukową, skoro nakład liczący sobie ponad siedem tysięcy egzemplarzy jest przysłowiową kroplą w morzu potrzeb?

Czy aby nie zbyt zapatrujemy się, określając liczbę egzemplarzy dzieł historycznych, na dawne czasy, nie zdając sobie sprawy z tego, że czytelnik poszukuje już nie tylko strawy łatwej, lekkiej i przyjemnej, z której dowiedziałby się o mniej lub bardziej znanych wydarzeniach, ale żąda literatury poważnej, na najwyższym naukowym poziomie, podejmującej zasadnicze naukowe zagadnienia naszych czasów?

Tyle wstępu do krótkiej notatki o wspomnianym już nowym dziele Jerzego Topolskiego. Tego autora prezentować nie potrzeba: jeden z naszych czołowych historyków, najwybitniejszy dziś znawca zagadnień metodologicznych historii, nawiązał w swej nowej pracy do niektórych wątków zarysowanych uprzednio w „Metodologii historii". Celem jego nowej książki było — jak zaznaczył to w słowie od autora — „przedstawienie, w sposób oczywiście skrótowy, możliwie całokształtu problematyki wyjaśniania z perspektywy przede wszystkim historyka". Jest to z pewnością problematyka, fascynująca dziś licznych specjalistów od metodologii nauk, jednakże dotychczas nie była ona szerzej rozważana przez profesjonalnych historyków. Zaś to, co powiadają metodologowie nauk, nie zawsze może w pełni zadowolić historyków. J. Topolski nie bez racji powiada, że dotychczasowym dyskusjom, poświęconym procedurom wyjaśniania historycznego, wiele brakuje. Cechuje je nade wszystko „zbyt szerokie pole widzenia, obracanie się nader często w kręgu spraw marginesowych, oderwanie od problematyki ontologicznej dotyczącej procesu dziejowego oraz od badań nad świadomością historyków". Zamierzeniem uczonego było, aby „sprawy metody wyjaśniania, teorii dziejów oraz procesów myślowych historyka stopiły się w jedną całość, tak jak to rzeczywiście występuje w badaniu".

Dlaczego tak wiele o wyjaśnianiu? Niegdyś uważano, że celem historii jest opis minionych zdarzeń i wielu historyków hołdujących anachronicznym poglądom i postawom naukowym, wciąż ogranicza do tego swoje ambicje. Historiografia współczesna, inspirowana przez teorię materializmu historycznego, nie może zaakceptować tego rodzaju minimalizmu i wydaje mu walkę. „Wyjaśnianie, czyli szukanie odpowiedzi na pytanie „dlaczego" — powiada Jerzy Topolski — jest samym sercem nauki; jest również głównym zadaniem historii. Tylko przez wyjaśnianie (...) uzyskujemy stan rozumienia, choć niektórzy sądzą, że to przez rozumienie uzyskuje się wyjaśnianie". Jak zaś te skomplikowane zagadnienia przedstawia autor tej pasjonującej, choć z pewnością niełatwej książki — o tym przekonamy się wówczas kiedy weźmiemy do ręki rzecz „Rozumienie historii" i poświęcimy na jej lekturę sporo wieczornych godzin — książka do poduszki to przecież nie jest.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

WSPOMNIENIE Z WIEDNIA

(opowiadanie)

Janusz otworzył okno. Wiosna wdarła się do pokoju.

Dopiero poprzedniego dnia wprowadził się do tego pokoju. Nucąc miłą melodię, lustrował wszystko dookoła. Kilka drzew wzdłuż ulicy zieleniło się swobodnie w jasnym powietrzu. Na rogu dorożkarze gawędzili jowialnie, pykając fajki, a konie dorożkarskie raz po raz zwracały ku nim głowy i zdawały się brać żywy udział w rozmowie. Ze sklepu wyszła młoda kobieta z koszyczkiem na ręku. Była to właścicielka mieszkania, jego gospodyni. Zobaczywszy swojego nowego lokatora skinęła mu ręką i zawołała kilka słów wesoło, po czym skierowała się do piekarni. Wózek z mlekiem wyjechał z sąsiedniej przecznicy, mleczarka dzwoniąc ręcznym dzwonkiem zatrzymała się przed bramą.

W otwartych oknach po przeciwnej stronie ulicy, gdzie poruszały się z powiewiem wiatru białe firanki, pojawiały się poza kwietnymi doniczkami dziewczęce głowy. Nowy lokator w oknie, w wieku lat dwudziestu kilku, spowodował sensację wśród mieszkanek Elizabeth-gasse.

Akurat w oknie naprzeciw ukazała się dziewczyna, z zaróżowioną twarzą, z wysokim czołem pod puchem jasnych włosów. Janusz przestał nucić.

Postać zniknęła, aby po chwili pojawić się znowu. Trzymała w ręce zieloną koneweczkę, z której srebrzystym wodotryskiem zwilżała maleńki ogródek w oknie. Spojrzała na Janusza raz, i jeszcze raz, aż wreszcie przesłała uśmiech i natychmiast ukryła się za firanką.

Właśnie do pokoju Janusza wszedł jego kolega, Amadeusz. Janusz uchwycił go za ramię.

— Czy widzisz tam, naprzeciw, tę zachwycającą istotę?

Amadeusz nie zdejmując popielatego melonika, poprawił okulary i wpatrzył się w opustoszałe okno.

— Jeśli mam powiedzieć prawdę, to nie widzę nikogo.

— Ach, oczami duszy trzeba widzieć, rozumiesz? Ale ja ją widziałem, to wystarczy.

— Oczami duszy?

— Nie. Tak jak ciebie widzę. Co za wdzięk, co za uśmiech!

— Czy o mnie mówisz?

— Amadeuszu, przecież ty wiesz, jak ja zwykle o tobie mówię.

— Doskonale, zatem nie musisz mi już tego powtarzać.

— Musisz tam natychmiast pójść i zanieść jej mój list.

— Darujesz, ale nie jestem pocztylionem. Wyślij pocztą.

— Jakże mogę wysłać pocztą, jeśli nie znam ani jej imienia ani nazwiska.

To dopiero przemówiło do przekonania Amadeusza.

— Dobrze. Wyświadczę ci tę przysługę.

Janusz napisał na kartce:

„Jestem oczarowany. Spędźmy razem dzisiejszy wieczór. Czekam o 5-tej na Praterstern".

Amadeusz wybrał się z listem naprzeciw i stanąwszy pod bramą zadarł głowę do góry, chcąc przekonać się, czy w oknie nie ujrzy adresatki. W tej chwili jakaś młoda kobieta wybiegła z impetem z kamienicy i wpadła prosto na Amadeusza, któremu skutkiem zderzenia popielaty melonik spadł z głowy i potoczył się po chodniku.

— Ach, przepraszam pana bardzo, ale dlaczego stoi mi pan na drodze i szuka wróbli na dachu?

Amadeusz podniósłszy melonik i wycierając go starannie, mruczał:

— Wcale nie wróbli szukam, tylko szczygła. Pani również lepiej by zrobiła, gdyby starała się wychodzić z mniejszym zapałem na ulicę.

— Taki piękny dzień, a pan mi każe chodzić powoli — i to dlaczego? Żeby pan mógł sobie wygodnie łapać szczygły! Także żądanie!

— Tylko spokojnie! Dlaczego się mamy kłócić? Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, kto tu mieszka, o tu, gdzie jest to okno?

— A cóż to pana obchodzi?

— Mnie nic. Ale mój kolega chciałby poznać tę panienkę, która tam mieszka. Napisał nawet do niej list, a ja mam ten list doręczyć.

— Niech mi pan da ten list prędziutko, ja go już zaniosę tej pannie. Znam ją bardzo dobrze.

— Wybornie! Umniejszy mi to zachodu. Dobrze, ale dlaczego pani czyta? To jest niedyskrecja!

— Wolno mi czytać, bo to jest do mnie, mój panie! — zawołała i odbiegła ze śmiechem.

„Ach, to tak?.." — mruknął Amadeusz sam do siebie.

Janusz i Amadeusz oczekiwali na Praterstern.

Popołudniowe słońce zalewało biały plac, przez który rozweselone tłumy podążały do Prateru. Ze wszystkich stron gwiaździstego placu nadjeżdżały samochody, dorożki, rowerzyści.

— Przyjdzie czy nie? — niecierpliwił się Janusz.

— Kto? — zapytał Amadeusz.

— Niebiosa! dodajcie mi sił, abym wytrzymał z tym człowiekiem! Czy nie wiesz, na kogo my tu czekamy?

— Wiem, wiem, tylko zamyśliłem się trochę. Czy przyjdzie? Ależ dlaczego nie miałaby przyjść?

Nie można było odmówić racji Amadeuszowi. Dlaczego nie miałaby przyjść, aby spędzić z młodym człowiekiem miły wieczór w Praterze? Rzeczywiście za kilka chwil sąsiadka z przeciwka zbliżała się przez środek placu. Od jej smukłej postaci padał niebieski cień na słoneczny asfalt.

Przywitała się swobodnie i nie trzeba było wiele słów, aby zawrzeć bliską znajomość. Śmiejąc się poszli we troje do Prateru.

Hilda wkrótce opowiedziała o sobie wszystko, że opiekuje się młodszym rodzeństwem, że uczy muzyki, który to talent odziedziczyła po ojcu muzyku. Amadeusz dowiedziawszy się o jej zdolnościach, trzykrotnie zawołał „brawo", bo sam grał na wiolonczeli i kontrabasie. Natomiast Janusz uczył się śpiewu i odbywał studia w Wiedniu. Uznali zatem, że są dla siebie dobranym towarzystwem.

— To panu na imię Janus?

Amadeusz wtrącił: — Nie Janus, tylko Janusz. Ale tego pani nigdy się nie nauczy wymawiać. Ja sam, choć jestem bardzo pojętny, jeszcze nieraz się pomylę.

— O niech się pan nie boi, już ja się nauczę wymawiać to imię.

I roześmiała się wdzięcznie do Janusza.

W Praterze zewsząd rozbrzmiewała muzyka, z każdej karuzeli, ze wszystkich pawilonów, z kawiarń i ogródków, z kin i z teatrzyków. Łączyły się tony, mieszały i przegłuszały. Wchodzili w orbitę coraz to innej wesołej muzyczki. Wrzawa głosów i wybuchy śmiechu łączyły się z przeraźliwymi piskami z „Diabelskiej kolejki", z „zapadającej się podłogi" i z innych emocjonalnych sal zabawowych. Przed wejściem do kin portierzy w złoconych uniformach stukali ozdobnymi laskami, zapraszając do środka i oznajmiając, jakie atrakcje przynosi dzisiejszy program.

Poszli pod Riesenrad, który olbrzymim kołem obracał się ponad Praterem, Wsiedli do wagonu i ruszyli w górę. Co jakiś czas zatrzymywało się koło, po czym ich wagon coraz wyżej się podnosił. Ukazywała się panorama Wiednia, coraz dalsza i ładniejsza. Hilda dzieliła się zachwytem ze swymi partnerami. Na samym szczycie Amadeusz, który był wiedeńczykiem, zdjął popielaty melonik i wychyliwszy głowę przez okno wagonu, machał kapeluszem wołając:

— Serwus, mój Wiedniu kochany!

Skończywszy jazdę na „Riesenradzie" wsiedli do „Diabelskiej kolejki". Pociąg przejeżdżał z hurgotem przez tunele, zjeżdżał z ogromną szybkością w przepaście, zakręcał wściekle pomiędzy górami. Hilda zamknęła oczy i mocno trzymała się ramienia Janusza. Ponadto, zjeżdżając w przepaść, piszczała ze wszystkich sił, jak i inne pasażerki. Co do Amadeusza, ten trzymał język za zębami a za to z dwóch stron rękami przytwierdzał melonik do głowy.

— Gdzie teraz idziemy? — zapytał Janusz po skończonej „podróży".

— Że co? — Amadeusz, nieco oszołomiony, z trudem odrywał zbyt wciśnięty na głowę melonik.

Stali właśnie przed ozdobną karuzelą, w której konie ze wzburzonymi grzywami i o malowniczych maściach brały parami przeszkody, przepływając lekko w takt muzyki ponad wodą, ponad płotami, przy tym przechylały się, w czasie czego dreszcz przenikał niewprawnych jeźdźców.

Hilda nie chciała próbować tej przyjemności. Miała za wąską spódniczkę... Amazonki, które dosiadły pękatych rumaków, ukazywały w najdyskretniejszym wypadku kolana, a gdy zaczęło się tempo wyścigowe, wszystkie spódniczki fruwały zbyt zalotnie.

— Jedziemy zatem w podróż podziemną — postanowił Janusz.

— O tak, w krainę czarów! — Hilda była rozbawiona jak dziecko.

Pojechali ciemnymi korytarzami, aż naraz z ciemności wyłaniała się czarowna grota. Kolej zatrzymywała się. W grocie karzełki kuły kilofami. Otwarł się sezam i jarzące się w nim skarby. A głębiej w niebieskiej poświacie leży śpiąca królewna, przy niej zadumane krasnoludki kiwają głowami.

Kolej powiozła ich dalej. Z tunelu wyjechała do jasnej sali, że aż oczy trzeba było mrużyć. Zadźwięczała muzyka i kilkadziesiąt bajecznie ubranych lalek, wielkości człowieka, zaczęło się obracać i tańczyć.

W dalszej drodze ukazało się piekło. Diabły gotują złośnice w smole i mieszają widłami. Inne diabełki przyprowadzały na łańcuchach grubych obżartuchów, chude dewotki i podobne towarzystwo, które winno znaleźć się w piekle.

Ruszyli znowu.

— A gdzie Amadeusz? — zainteresował się Janusz.

Spojrzeli po współtowarzyszach. Poza nimi nikt nie siedział a przed nimi siedzieli sami obcy ludzie. Amadeusza nie było. Teraz dopiero Hilda i Janusz przypomnieli sobie, że Amadeusz w ogóle nie wsiadał z nimi do kolejki. Zgubili go już wcześniej.

— Panno Hildo, jak się to stało, że tak długo nie zauważyliśmy jego nieobecności? Czyż byliśmy aż tak sobą zajęci?

— Że ja nie zauważyłam, to nic dziwnego — powiedziała ściszonym głosem Hilda.

A właśnie ukazał się wdzięczny widok. Srebrzysty strumyk przewijał się z głośnym szmerem. Na drzewach ptaki wyglądały z gniazdek i świergoliły uroczo. Młody Tyrolczyk wyszedł zza skały i zaśpiewał piosenkę z namiętnym jodlowaniem. Z małego zielonego domku wyszła Tyrolka i oboje objęli się i zatańczyli wesoło.

Różowe blaski padały z groty na Hildę, oświetlały lekko jej włosy i wilgotne usta. Janusz nachylił się i ustami dotknął jej włosów.

Na drugi dzień Amadeusz się odnalazł.

Gdy w Praterze spostrzegł naraz, że stracił towarzyszów, z żalu postanowił pójść do kina. Jakaś młoda osóbka kupująca tuż przed nim bilet przy kasie, przekonała się, że zabrakło jej pieniędzy na bilet i z zatroskaną miną chciała już odejść. Amadeusz z rzadko okazywaną przytomnością umysłu poprosił ją, aby zechciała jemu pozostawić wyrównanie tej różnicy. W ten sposób Amadeusz znalazł się w kinie z miłą nieznajomą.

— Na imię ma Suzi — Amadeusz dzielił się wrażeniami z Januszem. — Pomyśl! Suzi! Gdybyś ją widział! Trudno mi jest wprost opowiedzieć, jaka ona ładna.

— No, jeżeli ci trudno, to może nie opowiadaj — zgodził się pobłażliwie Janusz.

— Tak, ale jedna rzecz mnie gnębi. Umówiłem się z nią na niedzielę, niestety nie mogę sobie przypomnieć, czy pod pomnikiem Mozarta, czy Beethovena?

Jednego dnia Hilda zaprosiła obu kolegów do domu. Amadeusz przyniósł wiolonczelę.

Widząc rozweseloną twarz Hildy zwracającą się ciągle do Janusza, Amadeusz mruknął do siebie: „Ach, to tak..." Po czym zamyślił się na temat pomnika Mozarta i Beethovena.

Młodociane rodzeństwo Hildy przeniosło się do kuchni, w której wszystko świeciło się i bieliło a na ścianach wisiały serwetki z niebieskimi hafcikami i zabawnymi postaciami, obok których widniały haftowane maksymy i przysłowia. Wkrótce w pokoju zapachniała aromatyczna kawa. Janusz natomiast nie mógł poznać tego rozbawionego dziewczątka z Prateru, które teraz zmieniło się w skrzętną gospodynię. Nie straciła nic ze swego wdzięku lecz zarazem zjawiła się w niej jakaś nowa odmiana.

Potem nastąpił koncert domowy. Sentymentalne melodie wypłynęły spod placów Hildy. „Wien, Wien, nur du allein..." Janusz śpiewał przy jej akompaniamencie. Amadeusz nie mógł wziąć udziału w koncercie, ponieważ w ostatniej chwili pękła mu struna w wiolonczeli.

Hilda powstała od fortepianu: — Muszę poszukać nut jakiejś piosenki, która by była o maju, o Wiedniu...

— I o czym jeszcze? — zapytał Janusz. — Poszukamy razem — dodał i poszedł za nią do drugiego pokoju.

„A ja tymczasem naciągnę nową strunę'" — pomyślał Amadeusz.

Hilda z Januszem przeglądali nuty, ręce ich spotykały się, potem usta, a nuty wypadły z rąk.

Zmierzch zapadł przez otwarte okno z ulicy. Janusz i Hilda powrócili do Amadeusza i przekonali się, że zdrzemnął się nad wiolonczelą.

— No, struna założona — oznajmił ocknąwszy się.

— Jednak już jest późno, trzeba iść — powiedział Janusz.

— Widzę, że nawet nie znaleźliście nut — zauważył Amadeusz pakując wiolonczelę do pudła.

W niedzielę znowu przyszli z wizytą. Rodzeństwo Hildy bardzo poważnie siedziało przy stole, pijąc kawę i zajadając szafranowe ciasta, później jednak troje dzieciaków podniosło krzesło razem z Amadeuszem i obnosiło go po mieszkaniu.

— Wujek Amadeusz! wujek Amadeusz! — wołały paradując po pokojach.

— Dzisiaj to już wiem, że się nie zdrzemnę — mruknął „wujek Amadeusz".

— Jedziemy na Döbling! — zawołała Hilda. Twarz jej jaśniała uśmiechem. Powiew rozwiewał włosy i lekką suknię.

Zwróciła się do Amadeusza: — Panie Amadeuszu, czy jedzie pan z nami?

— O, nie mogę. Muszę się spotkać z Suzi.

— Ostatecznie pod którym pomnikiem? — spytał Janusz.

— W tym sęk.

Amadeusz jednak poradził sobie. Czekał dziesięć minut pod pomnikiem Mozarta, a nie doczekawszy się nikogo, rzekł do siebie blednąc: „A Suzi tymczasem czeka pod pomnikiem Beethovena!". Wsiadł do taksówki i pojechał pod pomnik Beethovena. Tu niestety również nikt się nie zjawił. „Rozumie się, przyszła pod pomnik Mozarta, tylko spóźniła się". Zaniepokojny wskoczył do auta, które czekało na niego, i powrócił pod pomnik Mozarta. Również bez skutku. Zgnębiony pojechał z powrotem i tak szofer z rosnącą obawą woził Amadeusza od pomnika do pomnika.

Tymczasem Hilda i Janusz spędzali czas poza miastem wśród pierwszej wiosennej trawy, radosnych pąków jakby wytryskających z drzew i z krzewów oraz wśród najpierwszych kwietnych kiści, które z nieśmiałym urokiem zwieszały się ponad ich głowami.

Biegali po wzgórzach, Hilda zresztą miała dużo powodów do ucieczki.

Pod wieczór, przy skłaniającym się słońcu, weszli do winiarni, gdzie w ogrodzie orkiestra grała tańczącym walca, a młoda pieśniarka śpiewała.

Prostą, naiwną piosenkę pochwyciła publiczność i potem już wszyscy nucili i tańczyli.

Hilda, chociaż zmęczona, na dźwięk walca odzyskała siły i pociągnęła Janusza do tańca. W obrotach tanecznych rozburzone włosy oplatały jej twarz i oczy, a wilgotne usta lśniły się przy promieniach zachodzącego słońca.

Minął maj i minął czerwiec, dwa najradośniejsze miesiące.

Hilda miała zawsze wiele do opowiadania Januszowi. Poza tym Amadeusz ciągle ich mimo woli rozweselał. Nadal poszukiwał Suzi.

Jednego dnia Amadeusz odbiegł pod Operą od Janusza i dopadł jakąś młodą kobietę.

— Czy to pani, panno Suzi?

— Bezczelność! Jeżeli pan zaraz nie odejdzie, zawołam policjanta.

— Ach, o tak?... Przepraszam!...

Usadowiwszy popielaty melonik z powrotem na głowie, powrócił do kolegi.

— To nie Suzi.

Hilda i Janusz wracali wonnymi wieczorami na Elisabethgasse, potem długo się żegnali i Hilda wchodziła do domu po jednej stronie ulicy a Janusz po drugiej.

Gdy tego dnia się żegnali, powiedział Janusz:

— Za tydzień już wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz?...

— No tak, Hildo, wracam do domu.

— Wracasz? Ach, tak, wracasz...

Podała mu rękę i prędko odbiegła.

Janusz powoli, smutny, skierował się do mieszkania.

Nadszedł dzień odjazdu. Hilda była rozżalona. Jeszcze nigdy nie była tak małomówna, jak tego dnia.

Wyszli na ulicę. Z ogrodu wypadła piłka bawiącym się dzieciom i potoczyła się im pod nogi. Hilda podniosła ją i przerzuciła przez ogrodzenie. Mała dziewczynka w ogrodzie ucieszyła się, podziękowała grzecznie.

— Ty płaczesz, Hildo — spytał Janusz.

— Nie, skądże...

Przypomniał sobie, jak przed miesiącem Hilda sięgnęła ręką ku gałęzi bzu w tym ogrodzie i jak zerwała ją jak gdyby gałązkę szczęścia.

Na peronie jedynie Amadeusz był bardzo gadatliwy, lecz wreszcie przerwał i rzekł:

— Mówcież coś, bo ja już nie mam o czym mówić.

Rozbawiło to obojga. Naraz Amadeusz porwał się, uścisnął Janusza i zawołał:

— Widzę Suzi! nareszcie widzę Suzi! Odprowadziła kogoś i odchodzi. Biegnę za nią! Pozostawiam cię Hildzie...

W tłumie zniknął jego popielaty melonik.

Odezwały się sygnały odjazdu. Hilda zarzuciła ręce na szyję Janusza. Całując ją, Janusz miał wrażenie, że na soczystych jej ustach żegna wiosnę.

— Proszę zająć miejsce — rzekł konduktor. — Nic nie trwa wiecznie.

Z okna wagonu Janusz mówił.

— Niedługo do ciebie napiszę.

— Wiem... Napiszesz...

— Naprawdę, Hildo.

— Ja wiem, że napiszesz. I ja będę pisała.

— Przyjadę do Wiednia.

— Tak, wiem. Może nawet przyjedziesz.

— Zobaczymy się znowu...

— Dobrze, Januszu...

Pociąg ruszył. W rytm kół zaczął się wplątywać motyw melodii z Döblingu. Janusz wychylił się z okna. Hilda stała na peronie żegnając go dłonią. Na ustach miała uśmiech.

Z pobytu w Wiedniu ten uśmiech, jakby uśmiech Wiednia, utrwalił mu się najsilniej w pamięci.

Foto: W. Paryś

RYBA NA PIĘĆ LITER...

Zbigniew S. Nowak

Lato, ciepło, samo południe, park w pełnym słońcu, ciśnienie w normie, woda w fontannie, nawet dość mokra. Ze srebrzystej tęczy polatuje w niebo małoletnia pośpiewajka, rozdzwoniona skowrończo:

— Raz Murzyni na pustyni
złapali kitajca:
nie wiedzieli, co z nim zrobić
— ucieli mu...

Rozjuszony nosorożec o posturze starszawej jejmości zrywa się gwałtownie z siedziska i cwałuje ciężko w strone fontanny.

— Ja wam pokażę, szczeniaki!

Spłoszone nagle stadko umorusanych chórzystów odfruwa spod wodotrysku w bezpieczną zieleń. Jejmość hamuje na miejscu, aż skrzypi żwir. Nie będzie przecież ganiać smarkaterii po zroszonej trawie. Nie wyszłoby to jej na zdrowie. Murawie oczywiście. Zresztą ludziska patrzą. Leci więc tylko warkliwa groźba:

— Niech no ja was tylko złapię, to już wam pokażę!

— A co? — mały filut okazuje niejakie zainteresowanie kuszącą obiecanką.

Tej jawnej bezczelności jejmościowe nerwy nie mogą już zdzierżyć. Poruszony do głębi babsztyl ostro startuje w zarośla. Ale przedszkolne chochliki w mgnieniu oka zaszywają się w krzaczastym listowiu. Zostaje po nich tylko świergotliwy chichot.

— Nie szarp się, teściowa! Szkoda zdrowia... — ziewa niedotleniony z sąsiedniej ławki, obracając się na bok.

Jejmość odkręca się ze zgrzytem, porażona ta nieoczekiwaną koligacją.

— Ty moczyryju! — dziabie terkotliwie na odlew. — Ty im dajesz taki przykład, wole nieoskrobany! — rusza z furią do ataku, przekrzykując tramwaj zawijający akurat z Zachodniej w Ogrodową.

— Rany to ci magiel... — zadziwia się niedotleniony, po czym co rychlej opuszcza wygodne legowisko, umykając przed niechybnym uszkodzeniem ciała. Parkowni cy aż chrzęszczą z uciechy, leci gęsty doping, jak zabawa to zabawa.

Majster stoi z boku i popatruje ciekawie na to niespodziewane widowisko z takim natężeniem, że aż mu kraśnieje wyliniałe ciemię. Dawno już podobnej hecy nie oglądał, chociaż urzęduje w „Parku Śledzia" od niepamięci. Z wrażenia aż mu łysa szczęka całkiem opadła. Takie te ludziska zmyślne do jasełek, że ho ho! Szczęśliwego fianału jednak nie będzie, bo nagle jakiś nerwowy pan władza znienacka zarządza fajerant.

Majster opuszcza widownię. Bardzo nie lubi spektakli w odcinkach, bo zawsze przerywają w najciekawszym momencie. Zaopatrzenie gniecie mu niemiłosiernie chude łopatki, a tam dalej już przecie klienci tęsknie czekają. Majster handluje piwkiem. Spragnionych trzeba napoić, jak głosi przykazanie, a Majster wierzy w ożywczą moc browaru niczym niegramotny w książki. Posuwa więc na górkę między lipy i jesiony, szparko, aż kapsle brzękolą w wypchanej butelkami parcianej torbie.

— Tutaj, Majster, tutaj! — krzyczy z dala betonowy stolik w kratkę. Warcabowi bohaterowie są najwyraźniej nielicho zmęczeni klockowymi bojami i upałem, kibice jeszcze bardziej. Ale już nadciąga woda życia.

— Dawaj, Majster, dawaj!

Majster się nie śpieszy, zna swój fach. Z namaszczeniem odklucza butelki, dygiem puszcza je na szachownice. Idą denka w górę, chlupie słód po krtani. Jeszcze tylko głębszy duch i po dymie. No, teraz dopiero można powalczyć. Znów ruszają klocki w bój.

— No, to wio po skosie!

Majster zbiera dychy i butelki. Zmienia kurs. Idzie tam gdzie sześćdziesiąt sześć, brydże, durnie i tysiące. Już z daleka słychać gwar niczym na perskim jarmarku. Tłumek rozpalonych graczy szemrze karciane zaklęcia: bierz go pod stół, ciągnij z góry, najpierw listonosz, potem widły i wywrotka, tylko jeszcze ograć ogon, kto teraz rozdaje, pytok, znowu kogut...

Majster kręci głową. Nie jego interes, że komuś karta nie idzie. Oby tylko jego interes szedł. A karta, wiadomo, lubi pływać. Szybko dzieli browar. Zbiera mamonę i rusza w kurs. A może by tak i do Balbiny podskoczyć?

— Szefowa też piwko?

Ale blond-królowa nie ma czasu i nastroju. Próbuje namotać frajera na parę. Ale ten odrzut eksportowy z pobliskiej knajpy, dokładnie na żytnio przyprawiony, absolutnie nie ma ochoty. Balbina próżno usiłuje postawić faceta na nogi; nie daje się, za miękki w kolanach.

— Kelner, piwo rrraz! — przytomnieje nagle eksportowy na widok słodowego brązu.

— Wody ci na łeb, a nie chmielu! — wdzięczy się Balbina do amanta i odgania Majstra.

— Ja mam żelazny organizm i od wody mi rdzewieje... — stawia się amant, ale Balbina jest stanowcza. Zbiera gościa i wytaszcza z parku, a krzepę ma nie byle jaką, chociaż taka w sobie aerodynamiczna. Eksportowy tylko nożyskami przebiera niczym pies w marcu.

Majster idzie dalej. Spod żywopłotu przy pstrokatym klombie sterczy jakaś szczeciniasta gęba. Niby śpi, ale nie chrapie, tylko grucha jakoś dziwnie, nawet oczy otwiera. Ani chybi suszy go!

Majster migiem zrywa kapsel i podbiega z pełnym jasnym do kołtuniastego. Ale ten jest całkiem przepełniony. Ledwie procenty zwąchał, puszcza pawia. Majster odskakuje z obrzydzeniem, butelka fika w trawę. Przepełniony też.

— Ty żłobie — warczy wściekle Majster — chlać to byś chciał, a kto za to zapłaci?

Kudłacz podrywa rozczochrany łeb z murawy. Przecie nie pił, to niby za co ma bulić? Zamiast dychy puszcza więc w starego wiązankę tekstów, a gdy to nie skutkuje, dodaje jeszcze pustą flaszkę.

Majster, dobitnie postemplowany szkłem w krzyż, chyłkiem bryka w alejkę, kuśtykając ciężko. Szlag trafił piwo, forsę i butelkę. Na pociechę pozostają krzyżówkowicze. Same inteligenty, panie, to i maniery mają lepsze, zachowanie jak należy. Dają dobrze zarobić. No i lubią starego, bo piwko zawsze jest pod ręką; nie trzeba za każdym razem do budki ganiać.

— Daj no, Majster, po jednym!

— Sie robi! — chmiel wyskakuje z torby.

— Ryba na pięć liter... co to może być? — główkuje łysy nad krzyżówką.

— Boleń.

— E, nie pasuje...

— Dorsz.

— Hm, też nie podchodzi...

— No to może śledź?

— Też coś — krzywi się Majster — śledź to nie ryba!

— Jak to nie? — zdumiewa się rozchełstany. — Mordę ma przecież do fasonu, ości jak trza i ogon...

— A tak, że nie! Śledź to śledź, a nie żadna ryba — rezonuje stanowczo Majster. Zbiera mamonę, pakuje butelki do torby i odchodzi z pokłonem. Krzyżówkowicze spoglądają za nim, potem po sobie.

Majster tymczasem podąża do zacisznej alejki, siada na ławce. Ostrożnie, bo wróble-psiajuchy znów deski podmalowały. Utarg trzeba podliczyć, a jakże. Wiadomo, każdy interes wymaga starunku i kalkulacji, jaki by on nie był. A taki trunkowy to już najwięcej, normalnie.

Wreszcie rachunki skończone. Można odsapnąć, rozprostować znużone kości, wygrzać zreumatyzowane kości na rozpiekłym słońcu. Majster sadowi się jak najwygodniej, popatruje dokoła, mruczy z ukontentowaniem. Dobrze jest!

W ogóle teraz ludziska mają dobrze, nie to co przed wojną. Kto by tam wtedy z biedniaków chodził wylegiwać się do parku, kiedy żryć nie było czego i człek ciągiem ino za robotą jaką patrzył, żeby gdzie grosza trochę załapać.

Majster sam swoje najpiękniejsze młode lata zmarnował w starym bielniku, w smrodzie, zaduchu, trujących wyziewach chemikaliów. A kiedy ciężki wózek zgniótł mu prawą nogę aż po kolano i uczynił z niego kalekę-kuśtyka, to z fabryki wyrzucili go po prostu na ulicę, jak starego psa niedołęgę. Nawet za stróża go nie chcieli, bo niby przez tę chromotę nie nadawał się do uganiania za złodziejaszkami. Łazęgował więc po świecie, imając się każdej roboty, a i żebrów niekiedy, byle nie zdechnąć z głodu. Dopiero po wojnie znalazł ciepłą stróżówkę, gdzie spokojnie doczekał starości i emerytury.

Teraz może sobie pożyć jeszcze parę ładnych lat, bez mitręgi i kłopotów, bez frasunku, o miskę jakiej strawy. Wystarczy tego grosza z renty, co mu listonosz każdego miesiąca przynosi. A ten handelek piwkiem, to wcale nie z żadnej potrzeby, ale by coś robić dla ruchu i zabicia czasu. Ot, takie zajęcie, ni to praca ni zabawa. I dobrze jest!

Lato, południe, ciepło, park w pełnym słońcu, przyjemnie. Nawet jakby coraz ciszej, bo upał znużył mocno wszystko co żywe. To i dobrze, uszom lżej. Tylko gdzieś za drzewami znów świergoli cienko:

— Raz Murzyni na pustyni...

Foto: J. Mendychowski

IDOL MAŁEGO EKRANU

Przed tygodniem pisałem o muzyce jako o gwieździe małego ekranu. Dziś chciałbym wrócić jeszcze do tego zagadnienia. Cechą charakterystyczną tego idola jest bezcielesność. Egzystuje tylko w sferze dźwięków, percepowana wyłącznie przez zmysł słuchu. Stąd zapewne wywodziły się opory przeciw wprowadzaniu muzyki do telewizji, z wyjątkiem tej służącej jako tło akustyczne, ilustrację, czy wreszcie przerywnik — bufor między dwoma programami o różnym charakterze.

Jako pierwsza wdarła się chyba do telewizji piosenka, wykorzystując swoją siłę atrakcyjności, porównywalną u nas chyba tylko ze sportem. Można by wprawdzie twierdzić, że dla piosenki wystarczającym środkiem podawczym jest radio. Piosenek się przede wszystkim słucha. No, tak, ale dla publiczności ważna jest uroda piosenkarki czy piosenkarza, a także interpretacja. Czy słynna „Guma do żucia", wykonana brawurowo przez Krystynę Jandę w ubiegłym roku w Opolu, zrobiłaby taką furorę, gdybyśmy nie mieli możności oglądania artystki na ekranie, śledzenia jej mimiki, gestu, nawet jej głęboko obnażonych, rytmicznie poruszających się pleców?

Zmysł krytyczny podszeptuje mi, że z widoku niektórych wykonawców piosenek prezentowanych nam przez telewizję zrezygnowalibyśmy bez żalu. Może dla nich byłoby nieraz lepiej, gdyby produkowali się wyłącznie w radiu, widzialni tylko dla realizatora akustycznego i mikrofoniarza. Ale „Okopy Świętej Trójcy" padły, telewizja otworzyła najszerzej swoje podwoje dla piosenkarzy i wydaje się, że nie ma cerbera, który stałby u wrót tej szacownej instytucji i dokonywał selekcji, kogo należy a kogo nie dopuścić przed kamery. Sami zaś piosenkarze tyle mają z reguły dobrego samopoczucia, że prą zdecydowanie do przodu, bo dopiero pokazanie się w telewizji to jest właśnie to, co czyni dziś człowieka sławnym.

Subtelny czytelnik dopatrzy się sporej dozy ironii w powyższych słowach, może zatem zadać mi pytanie: czy jestem przeciw piosence i piosenkarzom w telewizji. Piosenka wywindowana u nas została na taki piedestał, że choć człowiek zżyma się nieraz i psioczy na panoszącą się w tej dziedzinie tandetę i szmirę, to przecież nie zdecyduje się na jakiś atak generalny. Uważam jednak, że programowcy telewizyjni i estradowi (a także z małymi wyjątkami krytycy; tu ukłon uznania w kierunku red. Anny Borkowskiej z „Perspektyw") są zbyt tolerancyjni, a sieć, przez którą przesiewa się pretendentów na ekrany ma oczka zbyt duże...

Ze swej strony sugerowałbym częstsze podkładanie pod dźwięki piosenki innego obrazu. To się zresztą robi, ale nie dość konsekwentnie i nie zawsze w sposób, który da się zaaprobować. Widoki przyrody, architektury wraz z detalami, stare wnętrza bywają o wiele ciekawsze niż wątpliwy kunszt interpretatorski niektórych naszych... hm! ...gwiazd. Ale na przykład podkładanie zdjęć Grobu Nieznanego Żołnierza i mogił żołnierskich na przemian z obrazem piosenkarza w kusym fraczku i kolorowej aksamitce na szyi uważam za gruby nietakt.

Aby nie być pomówionym o zrzędliwość, przywołam natychmiast inny przykład atrakcyjnego podkładu obrazowego pod patriotyczną piosenkę. Nosi ona nazwę „Orzeł" i nadana była w programie w związku ze Świętem Lipcowym. Piosenkarki nie oglądaliśmy wcale, natomiast realizatorzy ze studia eksperymentalnego Telewizji Polskiej, gdzie nakręcono obraz filmowy pod tę piosenkę, zastosowali w sposób interesujący możliwości techniczne tkwiące w aparaturze elektronicznej (zwanej „blue box"; nie doczekała się jeszcze, o ile mi wiadomo, polskiej nazwy). Filmując lot orła na tle przyrody górskiej, deformowali go potem raz po raz, rozlewając w barwne różnokształtne plamy. Czasem były to plamy utworzone z tzw. czerwieni elektronicznej, którymi dumny ptak ociekał. Skojarzenie z krwawymi losami naszego narodu symbolizowanego przez orła było oczywiste, ale dyskretne, nie brutalnie dosłowne, jak w cytowanym wyżej przypadku.

Uwagi moje dotyczyły tym razem lekkiej muzy. Muzyka poważna, która także zadomowiła się w programie telewizyjnym, stawia inne wymagania realizatorom. Ruchy dyrygenta, czy instrumentalisty nie należą w takim stopniu do interpretacji utworu, jak zachowanie się przed kamerami piosenkarza. Niemniej i tutaj dowiedzieć się możemy czegoś o temperamencie twórczym artysty, oglądając go na ekranie. Tych doznań nie może dostarczyć radio.

A wracając do piosenki, która jest bohaterką tego felietonu, to należałoby może uporządkować na koniec postulaty. Piosenka jako idol telewizyjny? Oczywiście, któż mógłby jej zagrodzić dziś drogę na ekrany? Byle w doborze dopatrzeć się można było troski o krzewienie pozycji na to zasługujących. Efektowna oprawa scenograficzna, dyskotekowe pulsujące światła nie pomogą szmirze, tandecie, ani nieudolności.

A więc tama grafomańskim tekstom w rodzaju „Jak się masz, kochanie", łzawym i bezwartościowym melodiom! Poza tym więcej surowości w dopuszczaniu różnych gwiazdek na ekrany. Niektóre nie powinny tam trafiać!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

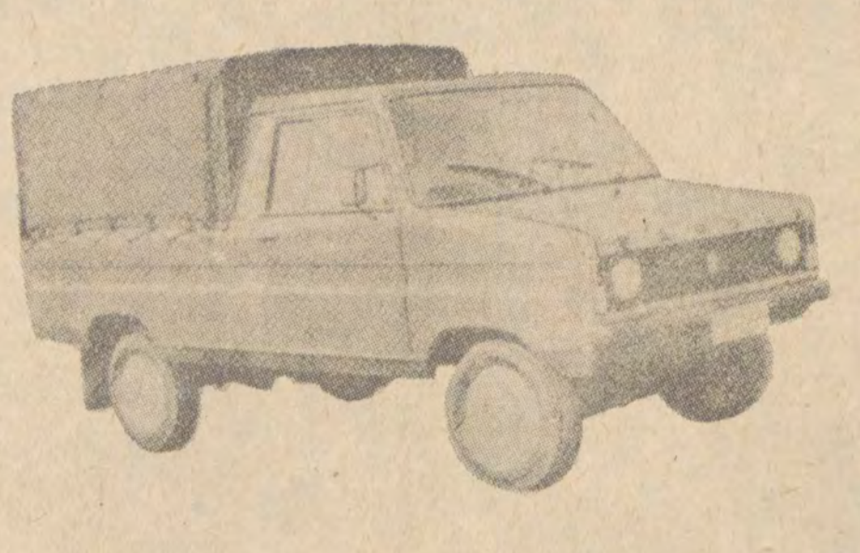

Foto: Archiwum

DLA KOGO ten SAMOCHÓD?

Dalszy ciąg ze str. 1

ski — **Nietrudno policzyć, że nawet bez eksportu i dostaw dla tzw. odbiorców pozarynkowych, czyli przedsiębiorstw państwowych, mamy z góry sprzedaną dwuletnią produkcję...".**

Podsumujmy ten obraz: 10 tysięcy rolników z myślą o których projektowano „Tarpana", czeka cierpliwie w kolejce, a w tym czasie rzesza prezesów i dyrektorów rozmaitych jednostek spółdzielczych i państwowych kołacze — i to z powodzeniem — do wrót ministerstwa o przydziały tego, szumnie reklamowanego, jako „pierwszy polski dla rolnictwa", samochodu...

— A przecież „przegięcia" w dystrybucji nie są pierwszą sprawą, która w temacie „Tarpan" budzi zasadnicze wątpliwości. Kontrowersje pojawiły się dużo wcześniej, zanim jeszcze w fabryce w Antoninku ruszyła taśma, a ich skutki nie pozostały bez wpływu na opisaną sytuację, na to, że już w tej pierwszej fazie produkcji „Tarpana" było po prostu za mało, że nie starczyło go dla wszystkich. Dzisiaj w fabryce uważa się, że gdyby nie brak zrozumienia dla idei motoryzacji polskiej wsi w okresie dyskusji nad „Tarpanem", można byłoby w 1977 roku, zamiast 5 tysięcy, wyprodukować dwa razy więcej egzemplarzy tego wozu. Dyr. **A. Bobiński** w cytowanym wywiadzie ujął to tak: **„Życie rozstrzygnęło wprawdzie spory o to, czy „Tarpan" w ogóle jest potrzebny, ale skutki wahań w tej kwestii nie dają się odrobić z roku na rok. Zwłaszcza że nawet przy twierdzącej odpowiedzi na pytanie o przydatność osobowo-towarowego auta dla rolnictwa w atmosferze niedomówień i pomówień (np. o trwonienie społecznych funduszy na zabawę hobbystów) zastanawiano się, czy produkowanie pięciu tysięcy „Tarpanów" rocznie nie będzie zbyt wygórowaną ilością"...**

Mocno dyskutowana — dodajmy — była również koncepcja konstrukcyjna i użytkowa „Tarpana". Jak najpierwszy odrzucony został pomysł samochodu-amfibii do pokonywania wpław rzek, bagien i jazd po zoranym polu. Padły zarzuty:

— **„Tarpan" pod względem zdolności poruszania się po bezdrożach nie dorównuje „jeepom"! On w ogóle nie wjedzie na pole!**

Ale zdaniem konstruktorów w naszych warunkach do jeżdżenia po polach służą nie samochody, lecz traktory i różnego rodzaju maszyny rolnicze. Samochód rolniczy musi natomiast radzić sobie na każdej wiejskiej drodze. Ale jednak na drodze, bo wjeżdżanie na orne pole, czy bagnistą łąkę, to u nas praktyka wyjątkowa. Wedle słów dyr. **A. Bobińskiego**, uszczęśliwianie wsi „na siłę" bardzo kosztownym (!), choć efektownie pokonującym bagna i wertepy klasycznym jeepem — byłoby po prostu ekonomicznym absurdem.

W myśleniu o polskim samochodzie dla rolnictwa starano się wziąć pod uwagę zarówno realne potrzeby rolnika, jak i realną zawartość jego kieszeni. Życie skorygowało jednak tę politykę (przede wszystkim — wobec kieszeni), a koncepcja wozu okazała się wynikiem rozsądnych kompromisów: między zdolnością samochodu do poruszania się w trudnych warunkach a kosztem jego produkcji i między towarową ładownością, a zdolnością do wykonywania funkcji auta osobowego.

Miał być „Tarpan" w założeniu dostosowany do różnorodnych potrzeb rolnika, ogrodnika, hodowcy. I trzeba przyznać, że w tej mierze wysiłki **Fabryki Samochodów Rolniczych** są godne podkreślenia: co roku na rynku pojawia się nowy wariant „Tarpana".

Podstawowym modelem jest **„Tarpan F-233 Standard"**. Ma on nadwozie z przesuwną ścianą, dzielącą pomieszczenie pasażerskie od skrzyni ładunkowej, otwartej i przykrywanej plandeką. W zależności od położenia tej ruchomej ściany, może „Tarpan" zabierać 3 osoby i 525 kg, albo 6 osób i 300 kg ładunku, nie licząc jednak przyczepy.

Z kolei model „kombi" posiada całkowicie metalową zamkniętą przestrzeń bagażową; jest przez to nieco cięższy i mniej ładowny. Natomiast model „pick-up" bez przesuwnej ściany, ma trzy miejsca pasażerskie i przedłużoną, dwumetrową skrzynię pod opończą, mieszczącą około 600 kg ładunku.

W opisie technologicznym najważniejszy jest silnik, który zresztą do tej pory budzi najwięcej sprzecznych komentarzy. Do niedawna był to solidny i trwały, ale mocno już archaiczny górnozawarowy silnik typu S-1 o mocy 70 KM, odziedziczony przez fabryki samochodów dostawczych i rolniczych po staruszce „Warszawie".

Na ostatnich, **50 Międzynarodowych Targach Poznańskich**. Fabryka Samochodów Rolniczych przedstawiła „Tarpany" z silnikami „Fiata 125". Podobno wszystkie wyprodukowane w przyszłym roku samochody mają być wyposażone w ten nieco silniejszy, nowocześniejszy silnik.

Na czerwcowych targach zaprezentowano również trzecią modyfikację „Tarpana". Jest to wersja z nakładką plastykową z tyłu skrzyni, którą można używać wymiennie z opończą. Po odkręceniu nakładki zwiększa się powierzchnia ładunkowa wozu. Ten model ma być w sprzedaży jeszcze w końcu 1978 roku.

Aktywność projektantów i producentów „Tarpana" w poszukiwaniu nowych rozwiązań technicznych jest tym bardziej cenna, ze — również w zgodzie z pierwotnym założeniem — samochód ten opiera się wyłącznie na osiągnięciach polskiego przemysłu motoryzacyjnego. W fabryce w podpoznańskim Antoninku dobrze jeszcze pamiętają ów „okres heroiczny" zakładów, lata 1972—74, kiedy to borykano się z brakiem podstawowych maszyn, narzędzi, oprzyrządowania. Ministerialny program z 1975 roku przewidywał w dodatku szybsze, niż to się okazało możliwe, osiągnięcie zdolności produkcyjnej 10 tys. samochodów rocznie. ale przedłużające się dyskusje wokół „Tarpana" spowodowały, że rozwój fabryki — w opinii jej dyrekcji — opóźnił się o jakieś dwa lata. Dlatego w 1977 roku zamiast 10 tysięcy, zjechało z taśmy montażowej tylko 5 tysięcy sztuk.

W 1978 roku „Tarpanów" ma być o tysiąc więcej, ale poważniejszy skok ilościowy nastąpi nie wcześniej niż za dwa lata. Warunki dla zwiększenia produkcji i dalszej modernizacji samochodu stworzyć ma dopiero rozbudowa zakładu nr 1 w Poznaniu-Antoninku (FSR jest dziś przedsiębiorstwem 10-zakładowym), w tym samym miejscu. w którym w 1939 roku wyprodukowano pierwsze polskie ciągniki rolnicze, a w trzydzieści parę lat później — pierwszy polski osobowo-towarowy samochód dla rolnictwa. A zatem dopiero w 1980 roku, po zakończeniu pierwszego etapu rozbudowy, fabryka produkować będzie 15 tysięcy samochodów rocznie.

To jest na najbliższe lata wystarczająco trudne zadanie, zarówno dla fabryki, jak i dla jej kooperantów. O kilkudziesięciu tysiącach „Tarpanów" rocznie na razie nie ma co marzyć.

Tymczasem apetyty na „Tarpana" rosną...

Zacznijmy od spraw eksportu. W fabryce mówią o nim z dumą. a niektórzy pytają nawet: czyżby nowa polska specjalność eksportowa? Fakt. Rośnie zainteresowanie „Tarpanem" w krajach socjalistycznych. Ale także na rynkach wolnodewizowych, gdzie i w tej dziedzinie istnieje przecież poważna, wypróbowana konkurencja...

— **„Tarpan" ma dość niską cenę! odpowiada aktualnym tendencjom w branży samochodów osobowo-towarowych** — na moje pytanie o przyczyny zainteresowania na Zachodzie odpowiada zastępca dyrektora do spraw technicznych FSR — **Z. Meissner. — Poszukuje się tam dziś samochodów, dla których nie trzeba stwarzać specjalnego zaplecza. A nasz, choć nie składa się wprawdzie z czterech śrub i czterech kół, zadowala się przeciętnym. Wgniecenia karoserii da się nawet zlikwidować domowym sposobem — młotkiem. Odpowiada również „Tarpan" zagranicznym kontrahentom dzięki swej funkcjonalnej wrzechstronności, uniwersalności. Na życzenie klienta dostosowujemy samochód do innych warunków i oczekiwań.**

Jeżdżą więc już „Tarpany" po drogach **Iranu, Grecji**, a od niedawna również — **Szwecji. Anglicy** wysyłają „Tarpany" na... **Wyspy Karaibskie.** Zobowiązania eksportowe rosną i z wielu przyczyn szczególnie ostatnio jest to dla nas ważne. Ale czy nie dojdzie do tego, że realizacja tych zobowiązań zacznie się odbywać kosztem tysięcy rolników czekających na „Tarpana" tu, w kraju?

Zawieśmy to pytanie, w nadziei, że uda się zachować rozsądne proporcje między sprzedażą za dewizy i za złotówki. Sprawa, moim zdaniem, bardziej kłopotliwa to tzw. odbiorcy pozarynkowi, dzięki którym od „Tarpanów" zaczyna roić się na ulicach miast. Co zadecydowało, że obok rolników wyrosło tak wielu, a tak niewiele mających wspólnego z rolnictwem. chętnych na ten „samochód dla wsi"? Zastępca do spraw ekonomicznych Fabryki Samochodów Rolniczych — **Brunon Kuroczycki** wymienia kilka czynników. I znów przede wszystkim — cena. Dla wielu polskich rolników jest zbyt wygórowana. Wynosi ona obecnie 180 tys. w przypadku modelu „standard" i „pick-up", oraz 200 tysięcy za model „kombi". Niejeden rolnik, czy ogrodnik woli więc kupić z przetargu, albo na giełdzie starego „Żuka", czy „Nysę".

Tymczasem „Tarpany" mogą świetnie służyć do przewozu niewielkiej ilości ludzi i sprzętu; zmieści się tu przeciętna brygada razem z wyposażeniem. Po drobnych przeróbkach, albo nawet i bez nich, „Tarpan" okazuje się niemal idealnym wozem dla rozmaitych służb technicznych i pomocniczych, w każdej prawie dziedzinie.

Zatem — paradoksalnie — przyczyny niedostatku „Tarpanów" (ich rosnące powodzenie poza rolnictwem, dla odbiorców ze wsi oznaczałoby teoretycznie ciągle przedłużanie się czasu oczekiwania na ten samochód) dopatrywać się można w tym, co reklamowane jest, jako walor — w uniwersalności! Popyt na „Tarpana" sygnalizuje chyba jednak brak małego samochodu transportowego, towarowo-osobowego na naszym rynku, takiego, który — w różnych swoich odmianach i modyfikacjach — zaspokajałby zapotrzebowanie pozarolniczych instytucji państwowych i spółdzielczych.

Decyzje o przyznaniu „Tarpanów" instytucjom pozarolniczym rozstrzygają się na dość wysokim szczeblu, co zapewne również nie pozostaje bez wpływu na opisaną tu strukturę rozdziału tych samochodów, jak dotąd niezbyt korzystną dla indywidualnego rolnika. Rozdzielaniem asygnat na „Tarpany" dla poszczególnych resortów zajmowała się do końca 1977 roku **Komisja Planowania** przy Radzie Ministrów. Terenowym oddziałom **„Agromy"**, zajmującej się do niedawna rozprowadzaniem „Tarpanów", niełatwo było uniknąć pewnych nacisków ze strony poszczególnych ministerstw.

Ale od pół roku wyłączną sprzedaż „Tarpanów" prowadzą na terenie kraju trzy **„Polmozbyty"**: olsztyński, rzeszowski i poznański. Przydziały dla instytucji leżą co prawda nadal w gestii ministerstwa, ale generalnie rzecz biorąc przejęcie dystrybucji przez „Polmozbyt" służyć ma indywidualnym nabywcom. Jak mnie poinformowano w poznańskim punkcie sprzedaży przy ul. Kazimierza Wielkiego. okres czekania na samochód ogranicza się do czasu między wpłatą (w wysokości 40 procent), a jej potwierdzeniem na koncie „Polmozbytu". Tak jest przynajmniej z modelem „standard". Natomiast stu zaległych klientów czeka w poznańskim „Polmozbycie" na „Tarpany-combi", których — zdaniem handlowców — produkuje się za mało. Tę setkę zamówień w wypadku dostawy wozów typu „combi" poznański „Polmozbyt" jest w stanie zrealizować w ciągu tygodnia.

Akwizycji dla przedsiębiorstw notuje się zatem już dużo mniej, indywidualni nabywcy mają do „Tarpanów" swobodniejszy dostęp, a wśród nich „na oko" 70—80 procent stanowią podobno rolnicy. „Podobno" — podkreślam, bo ze stanowiska „Polmozbytu" jest wszystko jedno, czy ten „indywidualny nabywca", to rolnik, czy może raczej przedstawiciel rzemiosła lub innej „prywatnej inicjatywy".

Zważywszy, że nowe zasady dystrybucji funkcjonują od bardzo niedawna, i że nie wszędzie jeszcze dotarły za pośrednictwem „Polmozbytu" informacje na ten temat, można przewidywać, iż skoro indywidualny rolnik nadal nie ma pierwszeństwa, łatwiej będzie na razie zająć miejsce w kolejce chętnym z większych ośrodków. Wydaje mi się, że tylko wyraźne preferencje dla rolnika (w tym utrzymanie systemu sprzedaży ratalnej) pozwolą przywrócić właściwą i zgodną z pierwotnymi założeniami zasadę handlowania „Tarpanami". W myśl założeń „Tarpan" miał stopniowo wyeliminować ze wsi konia, zastąpić znaczną ilość funkcji wykonywanych do dziś na polskiej wsi przez konne zaprzęgi, słowem. miał stanowić niezwykle ważny element w zarysowanej przed kilkoma laty — w czasie dyskusji nad pierwszym polskim samochodem osobowo-towarowym dla rolnictwa i wcześniej — wizji motoryzacji naszej wsi.

W końcu nie da się jednak ukryć, że istnienie paradoksów i dylematów, przed którymi stanęli producenci i handlowcy wprowadzając na rynek „Tarpana", uzasadnia potrzebę stałej rozbudowy podpoznańskiej fabryki, ciągłego zwiększania produkcji, dalszej modernizacji istniejących już wersji. A wszystko to, rzecz jasna, świadczy o sukcesie „Tarpana".

Oby jednak w atmosferze sukcesu nie zapomniano o najpierwszym przeznaczeniu tego pionierskiego samochodu zbudowanego z myślą o polskim rolniku.

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: Archiwum

Foto: W. Parys

Eugeniusz Iwanicki

stomil DLA TURYSTY

Nie jest tu miejsce by podawać przyczyny zainteresowania się społeczeństwa obuwiem tekstylno-gumowym, ubraniami żeglarskimi czy kajakami, bowiem analiza potrzeb nie wpłynie na poprawę zaopatrzenia sklepów w te artykuły. Niepokój budzi pustka w punktach sprzedaży, zdenerwowanie personelu sklepowego, który na pytanie czy są kamizelki asekuracyjne lub płetwy odpowiada, że nie ma i nie wie kiedy i czy w ogóle będą, zdenerwowanie potencjalnych nabywców uganiających się po kraju w poszukiwaniu masek pływackich czy łodzi gumowych. Na pierwszy rzut oka stan ten sugeruje, że znowu zmieniono siły na zamiary, a nie odwrotnie.

W sklepie z wyrobami turystycznymi przy ul. Piotrkowskiej 4, jeden z kupujących, na pytanie którego sprzedawczyni odpowiedziała sakramentalnym „nie ma", powiedział, że u nas to tak zawsze: — albo MPO nie potrafi przewidzieć zimy, albo przemysł zapomni, że co roku jest lato i ludzie kupują sprzęt turystyczny.

W jego słowach było dużo goryczy z zawiedzionych nadziei na kupno ubrania dla żeglarzy, lecz było także coś, co kazało zastanowić się i bliżej się przyjrzeć zjawisku jakim jest brak na rynku niektórych artykułów potrzebnych dla turysty.

Ale najlepiej jest zawsze zasięgać informacji u źródła, toteż postanowiłem odwiedzić grudziądzki „STOMIL".

Grudziądz gumą stoi...

55 lat temu ruszył tu przemysł gumowy. Jeszcze dziś można usłyszeć starą nazwę obuwia „Pepegi", choć mało kto pamięta jej pochodzenie. W 1923 r. powołano tu spółkę akcyjną Polski Przemysł Gumowy „Pe-Pe-Ge", który w bardzo krótkim czasie, bo zaledwie w sześć lat później osiągnął, jak na owe czasy, rekordową ilość wyrobów — 8.350 par obuwia tekstylno-gumowego zatrudniając prawie sześć tysięcy robotników.

Potem bywało różnie: tuż przed wojną nastąpił niemal całkowity regres, w czasie okupacji zakład uległ poważnemu zniszczeniu, po wojnie, co prawda uruchomiono wszystkie podstawowe działy produkcji, lecz tak na dobre, zakład zaczyna przeżywać swój intensywny rozwój dopiero od lat pięćdziesiątych. Rozszerzony zostaje nie tylko asortyment, lecz i technika produkcyjna. Obok tradycyjnego obuwia tekstylno-gumowego i całogumowego konfekcjonowanego zaczyna się produkować obuwie prasowe oraz metodą wtryskową z pcv. A ponadto, dzięki własnym opracowaniom konstrukcyjno-technologicznym rynek otrzymuje zupełnie nowe wyroby: pneumatyczne tratwy ratunkowe, płyty podeszwowe, obuwie plażowe, pneumatyczne łodzie, kajaki i materace, sprzęt dla płetwonurków i sportów wodnych, oparcia przednie dla fiata itp.

O rozwoju zakładów najlepiej świadczą cyfry: wartość produkcji według cen porównywalnych w mln. zł w 1950 r. wynosiła 40,9 a w 1977 r. aż 1.840! Z grudziądzkiego **„Stomilu"** korzystają odbiorcy indywidualni, kontrahenci zagraniczni, a także przemysł włókienniczy (pasy zgrzebne), obuwniczy (płyty podeszwowe), motoryzacyjny (oparcia dla fiata), okrętowy (tratwy ratunkowe), maszynowy, elektromaszynowy (techniczna taśma samoprzylepna. Oczywiście, każdy produkt wytwarza się w różnych wzorach. Są więc 23 podstawowe wzory materaców pneumatycznych, ponad 70 wzorów obuwia, 19 wzorów łodzi i kajaków pneumatycznych (w tym także łodzie przystosowane do napędu silnikami o mocy do 40 KM), 11 wzorów sprzętu wodno-pływackiego (skafandry, płetwy, maski, mieszki, rękawice, kamizelki asekuracyjne itp.). Rok bieżący ma przynieść tych wyrobów dużo więcej niż oferowano w latach minionych, co wynika z planów **„Stomilu"**, a mimo to wspomniany sprzęt i obuwie są praktycznie nie do zdobycia.

Dlaczego brakuje?

Tak więc nabywcy wiedzą, że na rynku brakuje wyrobów z grudziądzkiego **„Stomilu"**. Ale czy wie o tym sam producent? Z tej to okazji odwiedziłem **Grudziądzkie Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil"** i przeprowadziłem rozmowę z dyrektorem **Stanisławem Pryferem**, a także z głównym specjalistą do spraw obrotu towarowego, mgr **Eugeniuszem Majenką**. Ich odpowiedź była krótka:

— Nie zaspokoimy potrzeb rynkowych. W roku bieżącym zabraknie obuwia tekstylno-gumowego 1.728 tys. par, obuwia filcowego — 407 tys. par, łodzi i kajaków — 30 tys. szt., płetw — 34.600 par, rękawic — 5.800 par, masek pływackich — 75.700 sztuk, kamizelek asekuracyjnych „Jantar" — 15.200 szt., skafandrów dla narciarzy wodnych — 2.200 szt., a dla płetwonurków — 4.300 szt., mieszków — 177.600 szt., ubrań dla żeglarzy — 3.300 szt. Są to ilości olbrzymie, które będą rzutować na lata następne. Już teraz możemy powiedzieć, że rok przyszły, mimo zwiększenia produkcji, nie będzie wcale lepszy.

— Powszechna opinia jest taka: grudziądzki „Stomil" po prostu nie nadąża. Czy jest inne wytłumaczenie?

— Sprawa ma aspekt dużo szerszy. Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest przede wszystkim brak powierzchni produkcyjnej, brak nowoczesnych maszyn i urządzeń, opóźniona dostawa surowców i materiałów oraz brak wolnych rąk do pracy w Grudziądzu i jego najbliższej okolicy.

— Skoro „Stomil" nie może w pełni zaspokoić potrzeb rynku, czy są czynione próby zmniejszenia deficytu waszych wyrobów?

— Oczywiście. Podejmujemy szereg działań organizacyjnych, lepszego wykorzystania parku maszynowego, postępu technicznego, czasu pracy, zmian technologicznych i konstrukcyjnych, racjonalnej gospodarki surowcowo-materiałowej. Wszystko to ma służyć zmniejszeniu niedoboru naszych wyrobów na rynku. Rok przyszły niewiele, jak powiedzieliśmy, przyniesie poprawy.

— Jakie więc poczyniono konkretne działania w zakładzie, mające pokryć w najbliższej przyszłości żądania nabywców?

— Bardzo poważne. W chwili obecnej zakończono montaż 4 nowo zakupionych wtryskarek firmy „Desma" o zdolności produkcyjnej 3 mln par obuwia tkaninowo-gumowego w skali roku. Niedługo otrzymamy ze Zjednoczenia „Metalchem" 17 nowych krajowych agregatów wtryskowych, co docelowo pozwoli zwiększyć produkcję o około 6 mln par. Ponieważ odczuwamy brak rąk do pracy, poszukaliśmy ludzi spoza naszego terenu. Będziemy szyć cholewki nie tylko w Barczewie ale w Kamieńsku i Iławie, a w roku przyszłym w Morągu. Jeśli chodzi o produkcję artykułów przemysłowo-sportowych, to z chwilą oddania do eksploatacji naszego nowego obiektu produkcyjnego, myślę, że nasze materace nie tylko uzyskają jeszcze lepszą jakość, ale wzrośnie ich ilość. Gorzej przedstawia się sprawa z łodziami pneumatycznymi, gdyż przy ich montażu istnieje duże utrudnienie tzw. mechanizacji konfekcji. Wszelki sprzęt pływacki a więc: maski, płetwy, kamizelki, rękawice, mieszki, skafandry, ubrania sztormowe, mają dobre programowanie. Tu zaznacza się duża dynamika wzrostu produkcji. Oczywiście to tylko pobieżne wyjaśnienia, bowiem sprawa produkcji, jak powiedziałem, ma szerszy aspekt i w „Stomilu" pracujemy nad tym zagadnieniem.

Nowe uruchomienia

Grudziądzki **„Stomil"**, obok problemów, o których było wyżej, nie zapomina, że rynkiem rządzi nie tylko popyt ale i moda. Tak więc, obok asortymentów już sprawdzonych w handlu, zaakceptowanych, przewiduje się w roku przyszłym wprowadzić 20 wzorów obuwia tekstylno-gumowego, 3 wzory materaców, łodzi typu „Katamaran" oraz sprzęt pływacki. Dla uzyskania dalszej poprawy jakości estetyki i trwałości wyrobów, są czynione starania o przydział środków dewizowych na zakup potrzebnych maszyn i urządzeń, które umożliwiłyby realizację programu jakości. A więc: zostanie wdrożona nowa technologia obuwia trampkowego na spodach poliuretanowych, rozszerzy się produkcję obuwia tenisowego i trampkowego na spodach pcv, ulegnie zmechanizowaniu produkcja materaców pneumatycznych (uruchomienie agregatu do mechanicznej konfekcji materaców), wprowadzi się unifikację stójek materacowych, a do samej produkcji materaców wprowadzi się tkaniny o trwalszym wybarwieniu.

Duże znaczenie ma wprowadzony w 1978 r. **System Sterowania Jakością Produkcji.** Aby nie wdawać się w długie rozważania, wystarczy powiedzieć, że system ten eliminuje udział w produkcji materiałów i surowców niezgodnych z normami, zajmuje się opiniowaniem nowych wzorów i dokumentacji technologicznych, zapobiega błędom przenoszonym z fazy produkcji na fazę, wyrabia u pracowników poczucie odpowiedzialności za wykonywaną przez nich pracę.

Ale najpiękniejsze plany nie zdadzą się na nic, jeśli za nimi nie będą stać konkretni, odpowiedzialni ludzie. W **„Stomilu"** wprowadzono **„Kartę Jakościową Pracownika"** z odpowiednim regulaminem samokontroli na poszczególnych fazach produkcji. W takiej karcie mistrz produkcji ma obowiązek notowania uwag z równoczesnym udzielaniem upomnień pracownikowi, a także stanowisko jego pracy oznacza trójkątem ostrzegawczym. Tak więc nie jest to już sprawa intymna pomiędzy kimś kto spartolił robotę, a kontrolującym go mistrzem. Trójkąt ostrzegawczy widoczny jest dla wszystkich.

Wzornictwo i technologie

Swoje wyroby grudziądzki **„Stomil"** reklamuje przy pomocy pięknie wydanych prospektów. Są to fotosy drukowane techniką offsetową w kilku językach, przyciągające wzrok. Widać na nich nie tylko kształt produktu, lecz odcienie jego kolorów. Jednakże producent uważa, że jeśli chodzi o kolorystykę to można w tym kierunku zrobić dużo więcej. Aktualnie produkuje się 10 wzorów obuwia roboczego i ochronnego, 15 wzorów ma obuwie sportowe (w przyszłym roku dojdzie dalszych 5), 34 wzory posiada obuwie sportowe popularne (za rok 10 nowych wzorów), obuwie spacerowe ma 20 wzorów (za rok 5 dalszych). Wszystkie te grupy obuwia są produkowane według trzech podstawowych technologii: konfekcji ręcznej, prasowania oraz wtrysku polichlorku winylu. Ale już w 1978 r. przewiduje się wprowadzenie wtrysku poliuretanów oraz kauczuków termoplastycznych, co poważnie wpłynie na zmniejszenie ciężaru obuwia. Obuwie sportowe, specjalistyczne produkowane będzie na nowej linii zmechanizowanego montażu, co pozwoli na osiągnięcie wysokiej jakości tego obuwia i jego wartości użytkowych. W chwili obecnej w produkcji obuwia stosuje się 11 różnych tkanin wierzchnich w 35 odmianach kolorystycznych, a także szereg dodatków z syntetycznych materiałów skóropodobnych, skóry, pianek poliuretanowych, lateksowych, gumowych, pasmanterii itp. Nawet wzornictwo spodów posiada aż 31 tzw. grawur (rzeźb) podeszew. Jednakże fachowcy ze „Stomilu" nie są zadowoleni z trwałości wierzchów obuwia, a także z estetyki gotowych wyrobów. Chcą zastosować nowe materiały na cholewki, miękkie wyściółki, wkładki, oczka, uszczelniacze, miękkie języki, ciekawszy zestaw kolorystyczny itp.

Osobną grupę stanowią materace (18 podstawowych wzorów materaców jednoosobowych i 5 dwuosobowych) o wdzięcznych nazwach: „Poluks" „Duet", „Uno", „Ramzes", „Olimpia", „Ajaks", „Eurydyka" i in. Oczywiście, wszyscy wiemy jak wyglądają dostępne na rynku materace, choć okazuje się, że **„Stomil"** produkuje aż 21 ich wzorów; (Gdzie więc są te cudownie kolorowe wyroby, bo chyba nie w naszych sklepach!). W roku przyszłym wprowadzi się 3 nowe wzory. Na pytanie, dlaczego w handlu spotyka się ciągle te same, nieliczne zresztą wzory i kolory, nikt w **„Stomilu"** nie potrafił odpowiedzieć, choć istotnie (sprawdziłem) jest z czego wybierać.

Łodzi wiosłowych jest 10 wzorów, 4 wzory łodzi wiosłowo-motorowych, 3 wzory łodzi motorowych i dwa kajaków pneumatycznych. Tu przeważają nazwy: „Rekin", „Tajfun", „Bryza", „Korab", „Pelikan", „Gryf", „Alga", „Marabut" i in. Ale **„Stomil"** niejako „w zanadrzu" ma jeszcze parę nowych propozycji, których produkcję, w zależności od zamówień, może rozpocząć w każdej chwili. Jednocześnie zamierza się tu produkować łodzie metodą zgrzewania kauczuków termoplastycznych oraz metodą gorącej wulkanizacji, a także zamierzają uzyskać lepszą odporność zewnętrznych powłok na starzenie się. No i wreszcie (już niedługo) ruszy produkcja łodzi żaglowych oraz łodzi przystosowanych do napędu silnikiem. Pierwsza partia katamarana żeglowego pojawi się jeszcze w tym roku.

Modernizacja, poprawa jakości i kolorystyki obejmie także pozostałe asortymenty produkowane przez grudziądzki **„Stomil"** (skafandry, maski pływackie, płetwy, ubrania żeglarskie, sztormowe itp.). W niektórych przypadkach będą to daleko idące zmiany w kierunku nie tylko samego kroju czy barwy, lecz przede wszystkim wzięto pod uwagę stronę praktyczną wyrobu.

Jakość zobowiązuje

Jeszcze dwa lata temu **„Stomil"** posiadał 7 zezwoleń na oznakowanie swoich wyrobów najwyższym znakiem jakości krajowej „1". W roku ubiegłym takich zezwoleń było już 16 dla 34 produktów. Ten rok ma przynieść dalsze zezwolenia (14 nowych), a także zakład zabiega o prolongatę zezwoleń już istniejących. Jest to poważny sukces, który dobrze świadczy o jakości produkowanych tu wyrobów, a także o ludziach, którzy je produkują. Przyczynia się w dużej mierze do tego wprowadzona **„Karta Jakościowa Pracownika"**, szkolenia kwalifikacyjne, organizowanie czy to **„Dni Jakości"** czy też zaciąganie przez pracowników **„Wart Jakości"**.

Tak więc odpowiedź na postawione przez nas na początku pytanie dotyczące braku niektórych asortymentów produkowanych przez „Stomil" w Grudziądzu, sądzę że została udzielona. Jednakże odpowiedź to jeszcze nie konkretny towar na półce sklepowej.

71-letni Jan Wolski pokazuje autorowi reportażu, gdzie u „potworaków" były charakterystyczne garby...

MARSJANIE W EMILCINIE

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

Opowieść Jana Wolskiego zrobiła światową karierę.

W środę, 7 czerwca, warszawski korespondent Agence France Presse, depeszował: „Bliskie spotkanie trzeciego stopnia. We wsi odległej ok. 60 km od Lublina mieszkańcy opowiadają niesamowitą historię o lądowaniu niezidentyfikowanego obiektu latającego z załogą na pokładzie. Według opowieści 71-letniego rolnika, 10 maja około godziny 8 rano, spotkał on, jadąc wozem konnym, dwa dziwne „stwory" w czarnych opiętych skafandrach, podobnych do ubrań, jakich używają płetwonurkowie. Oczy ich były skośne, a twarze zielone, poruszali się łagodnymi skokami. Między sobą porozumiewali się wydając nieartykułowane dźwięki..."

Tego samego dnia również Reuter podał tłumaczenie rewelacji z pierwszej strony „Kuriera Polskiego". Obie wielkie agencje prasowe potraktowały wiadomość jak najbardziej serio. Sprawiły, że trafiła na czołówki dzienników w kilkudziesięciu krajach niemal wszystkich kontynentów, konkurując z „mundialowymi" doniesieniami z boisk piłkarskich w Argentynie.

Ale do Emilcina dociera tylko prasa lubelska, która zajmuje się znacznie ważniejszymi sprawami swego regionu. Jan Wolski nie wiedział więc, że piszą o nim gazety we Francji i Anglii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, Australii i Japonii. Dopiero dzielnicowy Komisariatu MO w Opolu Lubelskim specjalnie przywiózł mu egzemplarz „Kuriera". Sierżant Kazimierz Krupa kazał sobie odkładać codziennie „Kurier" w kiosku, gdy na pierwszej kolumnie zaczęły się ukazywać doniesienia z Emilcina.

* * *

71-letni rolnik chętnie rozmawia o gospodarstwie, które prowadzi z żoną oraz dwoma synami, najmłodszym 30-letnim Antonim i najstarszym 40-letnim Stanisławem. Trzeci syn — Józef pracuje w kopalni w Katowicach. Też jeszcze jest kawalerem. Z czterech braci tylko 37-letni Edward się ożenił, ma troje dzieci, mieszka w Opolu i pracuje jako elektryk. Gdy jest więcej roboty w polu, przyjeżdża pomagać. On też wpadł na pomysł, aby ojciec ze Staśkiem i Antkiem zajęli się wyrobem pustaków. Wszelki materiał budowlany jest na wsi w cenie. Wolscy mogliby na pustakach nieźle zarobić, gdyby mieli więcej czasu i nie obawiali się zwiększenia podatku. Może podatek uda się załatwić. Pan Witold W. z Lublina obiecał, że pomoże sprawę „popchnąć" w Urzędzie Wojewódzkim. Pan Witold W. był u Wolskich i całe opowiadanie o niesamowitym spotkaniu z pozaziemskimi istotami nagrał na taśmie magnetofonowej, bo od dawna interesuje się wszystkim, co dotyczy niezidentyfikowanych obiektów latających.

* * *

Witold W. jest autorem zdjęcia, które ma przedstawiać UFO spokojnie szybujące na tle pejzażu Lublina. 31 sierpnia 1977 roku, około godziny 16, gdy wrócił z pracy, postanowił sfotografować „Zenitem" widok rozciągający się przed domem przy al. Spółdzielczości Pracy. Przyłożył wizjer aparatu do oka i nagle zobaczył zagadkową kulę nad horyzontem. Gdy nacisnął spust migawki, owa kula błysnęła strumieniem silnego, niebieskiego światła w kierunku ziemi. Na szczęście fotografowi nic się nie stało. Śpieszył się, aby wykonać jeszcze jedno zdjęcie, ale niezidentyfikowany obiekt latający szybko skrył się w chmurach...

Witold W. wysłał zdjęcie wraz z negatywem do Telewizji. Fotografię pokazywano w programie „Sonda". Do dziś jednak nie zdołano wyjaśnić, czym właściwie jest tajemnicza, ciemna kula pośrodku panoramy peryferii Lublina. Oględziny negatywu nie dostarczają powodów, aby podejrzewać Witolda W. o umyślne spreparowanie błony fotograficznej. Nie wydaje się też, że owa kula powstała na skutek wady materiału negatywowego, czy w wyniku błędu w obróbce fotochemicznej. Ale najwybitniejszy w kraju znawca przedmiotu, członek British UFO Research Association, autor licznych publikacji na temat niezidentyfikowanych obiektów latających — m. in. w „Przeglądzie Technicznym" i „Przekroju", łódzki socjolog, mgr Zbigniew Blania, ostrożnie wstrzymuje się od jednoznacznego stwierdzenia czy fotografia jest autentyczna i rzeczywiście przedstawia pozaziemski wehikuł. Bez pozytywnej opinii uznanego autorytetu w dziedzinie „UFO-logii" zdjęcie nie może się liczyć jako dowód pozaziemskiej wizyty na naszym globie, a nazwisko autora nie trafi do światowego rejestru przypadków UFO...

* * *

Inaczej sprawa przedstawia się z przypadkiem bliskiego spotkania trzeciego stopnia w Emilcinie. Tym razem Witoldowi W. szczęście dopisało.

Czy to tylko zbieg okoliczności, że właśnie w odpowiedzi na jego depeszę zaraz przyjechał na miejsce mgr Zbigniew Blania? Autorytatywnie i kategorycznie orzekł, że relacja 71-letniego Jana Wolskiego jest prawdziwa oraz bezwzględnie zasługuje na zaufanie.

Jan Wolski opowiada jak to było, gdy w środę, 10 maja, omal nie został porwany przez Marsjan. Wspomina, że tego dnia wstał o 4 rano, zaprzągł klaczkę i pojechał do Dąbrowy Kuśnieńskiej. — Byłem z nią już trzy razy u różnych ogierów i nic. Postanowiłem więc spróbować jeszcze u prywatnego ogiera, w Dąbrowie Kuśnieńskiej — wyjaśnia gospodarz.

Ponieważ szczegóły dotyczące wizyty z klaczką wykraczają poza ramy wyznaczone tytułem tego reportażu, więc je pomijam oddając głos memu rozmówcy dopiero w momencie, gdy zaczął relacjonować powrót z Dąbrowy Kuśnieńskiej.

— Mogłem wracać asfaltową szosą — mówi Jan Wolski — nawet byłoby bliżej, ale wolałem jechać przez własne pole. Muszę pilnować brzezinek. Złodzieje je wycinają, na dyszle... Jechałem więc przez te brzezinki, i już wyjeżdżałem na łąkę, gdy zobaczyłem tych „potworaków". Nie więksi byli niż półtora metra. Twarze i ręce tylko było widać spod obcisłych, czarnych kombinezonów. Skórę mieli zieloną, jak trawa na wiosnę; oczy skośne i zgrubienia nad nosem... Wydawało mi się, że są garbaci, bo cośkolwiek ubranie na plecach im odstawało... Lekko wskoczyli na mój wóz. Przewiozłem ich kilkadziesiąt metrów. Widziałem, że nie mają złych zamiarów, więc się nie bałem... Rozmawiali między sobą. Jakoś tak: brzu, brzy, brzu... Pokazali rękoma, że mam się zatrzymać, to i stanąłem. Jeden szedł przede mną, a drugi z tyłu. Wtedy zobaczyłem na łące, pod brzozą coś wielkiego — jak autobus pekaes. Podeszliśmy. Unosiło się to nisko nad ziemią i nie sposób było wejść do środka. Ale stanęliśmy na takiej małej skrzyni drewnianej, która podniosła się zaraz prosto do drzwi tego pojazdu... Z wierzchu pomalowany był na biało, a w środku wszystko czarne... Zobaczyłem tam jeszcze dwóch takich samych „potworaków" — A powiedz panu o tych krukach — wtrąca żona gospodarza. — Z dziesięć czarnych kruków leżało pośrodku, miały poprzekręcane łebki — uzupełnia bohater niesamowitej opowieści.

Bez słowa protestu, z zadziwiającym posłuszeństwem, Jan Wolski najpierw rozebrał się do pasa, a później od pasa. „Potworaki" przystawiały mu jakieś aparaty. Skarży się, że trochę przemarzł, bo na dworze było chłodno. — Dlaczego pan się rozebrał? — pytam. — Bo oni chcieli — odpowiada Jan Wolski. — Nie wstydził się pan? — Nie. — A przecież mogły to być kobiety? — Chyba nie, nie wyglądali na kobiety... Chcieli, to się rozebrałem. — To niech pan teraz się rozbierze, zrobię zdjęcie... — Iiii... Teraz to co innego — rolnik nie chce zdjąć nawet koszuli, choć na dworze upał.

Widział, że jedzą coś, co wyglądało jak sople lodu. Częstowali go. Odmówił, nie miał apetytu. Pożegnał ich zdejmując czapkę z głowy i nisko się kłaniając. Odkłonili się. Na ziemię wrócił przy pomocy tej samej drewnianej skrzynki. Wsiadł na wóz i czym prędzej pojechał do wsi. Opowiedział o wszystkim sąsiadom. Pobiegli na łąkę, ale nie było już żadnego śladu po „potworakach", ani po UFO...

Gdy opowieść rolnika nabrała we wsi zrozumiałego rozgłosu, okazało się, że 6-letni Adaś Popiołek i jego 4-letnia siostra Agnieszka też dokonali niezwykłej obserwacji. Dzieci mianowicie widziały nad stodołą dziwny samolot — „taki wielki jak autobus". Pobiegły do matki, która smażyła placki na śniadanie. Kobieta mówi, że „coś musiało się zdarzyć, bo był wielki huk". Wyszła na podwórze, ale niczego niezwykłego nie dostrzegła...

* * *

Wobec narastających wątpliwości co do autentycznego charakteru wydarzeń w Emilcinie, głos zabrał mgr Zbigniew Blania, który oświadczył na łamach „Kuriera": „Ponieważ w tym konkretnym przypadku wywołującym tak szerokie zainteresowanie mamy do czynienia z obserwacją z bliska i pobytem człowieka wewnątrz zagadkowego pojazdu, nie wchodzą w grę żadne wyjaśnienia w rodzaju błędnego spostrzegania, iluzji, złudzeń optycznych itp. Moim zdaniem — z naciskiem podkreślił mgr Zbigniew Blania — tego rodzaju wytłumaczenie można stanowczo i spokojnie odrzucić. Obiekt był przecież ponad wszelką wątpliwość ciałem materialnym..."

Oświadczenie nie uspokoiło sceptyków. Otoczona brzezinkami i olszynami łąka Wolskiego jest tak urokliwym zakątkiem, że łatwo tu sobie wszystko wyobrazić. Zwłaszcza, gdy przygrzewa wiosenne słońce, a monotonne stąpanie klaczki kołysze wozem skłaniając do drzemki...

A może owym „ciałem materialnym", które mogło się przyśnić rolnikowi, był po prostu wypalony wrak autobusu porzuconego pośrodku wsi, koło remizy strażackiej?... UFO-lodzy argumentują, że Jan Wolski nie mógł wcześniej znać opisów istot pozaziemskich, bo takie opisy, oparte o relacje świadków, nie były dotychczas w Polsce publikowane. Jakby na poparcie tej tezy rolnik powiada, że o UFO nigdy nie słyszał, telewizora nie ma i „Wojny światów" nie oglądał. Nie da się jednak wykluczyć, że ktoś opowiedział mu, jak powinien opisywać wygląd napotkanych „potworaków". Choćby po to, by wreszcie zdarzył się pierwszy w Polsce przypadek bliskiego spotkania trzeciego stopnia i polska „UFO-logia" zyskała należną jej rangę w świecie...

Tak czy owak opowieść Jana Wolskiego odbiła się szerokim echem poza granicami Emilcina. W Opolu Lubelskim dowiedziano się dzięki temu, że Edward Wolski dość głośno o wszystkim opowiadał w miejscowej gospodzie. Zaalarmowano Komisariat MO Na miejsce wysłano niezwłocznie dwóch funkcjonariuszy MO. Jan Wolski powiedział, że spotkał „potworaków" i był na pokładzie ich pojazdu, ale żadnych śladów nie znaleziono. Tylko na przestrzeni ok. 20 metrów trawa była wyraźnie wyskubana przez konia. Ludzie mówili, że jeszcze były jakieś prostokątne ślady, jakby stóp — zostały jednak zadeptane. Później, widzieli ślady kół pozaziemskiego pojazdu, a to po prostu była trawa wygnieciona kołami zwykłego milicyjnego gazika, Musiał zawracać na łące...

* * *

Kilka lat temu na polu Jana Wolskiego, rozciągającym się aż do Komaszyckiego Lasu, leżał duży kamień. Pielgrzymki doń ciągnęły. Każdy chciał zobaczyć dziwny ślad stopy wyciśnięty na tym kamieniu. Z czasem sprawa ucichła i nie wiadomo gdzie się kamień podział. Może jak Wolski pomyślnie wreszcie upora się z podatkami za wyrób pustaków, też pójdzie w niepamięć cała historia z jego bliskim spotkaniem trzeciego stopnia?...

KONRAD TUROWSKI

Foto: autor

Dzieci Popiołków też coś niezwykłego widziały i słyszały...

U PRZYJACIÓŁ

W trzecią rocznicę konferencji helsińskiej w prasie radzieckiej pojawiło się wiele publikacji poświęconych realizacji postanowień Aktu Końcowego KBWE. Zwróciliśmy uwagę m. in. na serie artykułów poświęconych realizacji postanowień „trzeciego koszyka" tj. trzeciego rozdziału Aktu dotyczącego rozwoju stosunków kulturalnych, przepływu informacji, współpracy naukowej — pomieszczonych w czasopiśmie **„Sowietskaja Kultura"**.

Interesujące dane dotyczące dynamiki wymiany kulturalnej przytacza w swojej wypowiedzi wiceminister kultury ZSRR **W. Popow.** W roku ubiegłym ZSRR odwiedziło 150 zagranicznych zespołów artystycznych, 213 solistów, zorganizowano 44 wystawy zagraniczne. Prawie 3-krotnie wzrosła liczba wizyt zagranicznych działaczy kultury i sztuki w porównaniu z rokiem 1976. Wiele uwagi poświęcono w ZSRR imprezom o charakterze kulturalnym organizowanym przez stowarzyszenia międzynarodowe. (Np. Międzynarodowy Kongres Pracowników Muzeów). Zwiększa się także różnorodność form wymiany dwustronnej. W ub. roku odbyły się Dni Kultury Radzieckiej we Francji, Włoszech, Austrii, Finlandii, Meksyku, Indiach i innych krajach. Rozszerza się również wymiana reżyserów, aktorów, tancerzy, dyrygentów i instrumentalistów mających na celu m. in. przygotowanie wspólnych inscenizacji teatralnych, spektakli muzycznych, baletowych. W swojej wypowiedzi wiceminister Popow zwraca także uwagę, że po raz pierwszy w dziejach ustawodawstwa w Konstytucji ZSRR znalazły się stwierdzenia o popieraniu przez państwo międzynarodowej wymiany kulturalnej. Wymiana dóbr kulturalnych spotyka się z ogromnym zainteresowaniem w Kraju Rad a także wśród publiczności współpracujących krajów. Jednakże środki masowego przekazu w niektórych krajach zachodnich nie sprzyjają rozwojowi stosunków kulturalnych z ZSRR.

Na temat realizacji uzgodnionych programów wymiany naukowej wypowiada się minister szkolnictwa wyższego **W. Jelutin.** Radzieckie uczelnie podpisały porozumienia o współpracy z uczelniami RFN, USA, Japonii i Francji. W sumie 150 wyższych uczelni radzieckich ma bezpośrednie umowy z zagranicznymi partnerami. Uczeni radzieccy biorą udział w kilku programach badawczych na podstawie wielostronnych i dwustronnych umów między uczelniami i ośrodkami naukowymi ZSRR i innych krajów. W ostatnich latach — pisze minister Jelutin — poczyniliśmy szereg kroków zmierzających do zwiększenia limitów wymiany, jednakże USA, Kanada i niektóre inne kraje zachodnie sprzeciwiają się temu. Ponadto stwarzają one niekiedy trudności przy rozpatrywaniu kandydatur uczestników wymiany.

Dokument Końcowy KBWE podpisany przed trzema laty w Helsinkach korzystnie wpłynął na rozwój międzynarodowych kontaktów filmowych — stwierdza przewodniczący Państwowego Komitetu ds. Kinematografii **F. Jermasz.** Kinematografia radziecka wykorzystuje rozmaite formy współpracy w celu organizowania radzieckich imprez filmowych za granicą i zagranicznych w ZSRR oraz wzrostu wymiany filmów na zasadach komercyjnych i niekomercyjnych. W ciągu ostatnich dwóch lat w Związku Radzieckim zorganizowano liczne „dni" i „tygodnie" filmów zagranicznych. Szczególnie dużo uwagi poświęca się międzynarodowym festiwalom filmowym. Co roku radziecka kinematografia uczestniczy w ok. 50 festiwalach organizowanych w krajach zachodnich. Także minister Jermasz zwraca uwagę na pewne tendencje do ograniczania filmom radzieckim dostępu do kin w krajach zachodnich, chociaż poprawa współpracy jest niewątpliwa, zwłaszcza w zakresie koprodukcji.

Przewodniczący Państwowego Komitetu ds. Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa **B. Stukalin** swoją wypowiedź rozpoczyna od przypomnienia zorganizowanej w ub. r. w Moskwie retrospektywnej wystawy przekładów autorów obcych, na której zaprezentowano ponad 13 tys. publikacji. Ta imponująca wystawa stanowiła zaledwie ok. 20 proc. całego dorobku edytorskiego ZSRR jaki powstał w okresie władzy radzieckiej. Po konferencji w Helsinkach nastąpił dalszy wzrost ilości przekładów z literatur obcych. I tak w roku 71 ukazało się 63 mln egz. książek przekładowych, a w r. ub. już ok. 110 mln egz. W ostatnich trzech latach opublikowane zostały utwory ponad 6 tys. autorów zagranicznych. Obecnie trwają przygotowania do Międzynarodowych Targów Książki Moskwa — 1979. Wśród nowych inicjatyw Komitetu ds. Wydawnictw zwraca uwagę projekt wielotomowej antologii „Poezja europejska" oraz 50-tomowa seria edytorska „Biblioteka powieści amerykańskiej". Zamierzenia te będą realizowane wspólnie z wydawcami zainteresowanych krajów.

PROTEKTORZY I ICH PROTEGOWANI (1)

WŁADZA I POLITYKA

Amerykańska prasa przychylnie ustosunkowana do J. Cartera w czasie kampanii wyborczej i w pierwszych miesiącach jego władzy w Białym Domu, teraz coraz bardziej krytycznie ocenia działalność i skład kierowanego przezeń rządu. Niektóre gazety odnotowują iż Carter podczas kampanii przedwyborczej występował przeciwko waszyngtońskiej elicie i w ten sposób przeciągnął na swoją stronę wyborców, niezadowolonych z panoszenia się waszyngtońskich polityków, lobbystów i biurokratów. Teraz okazało się, iż sformowany przez niego rząd składa się z działaczy należących do tych samych kół waszyngtońskich.

Roger Morris, autor drukowanego niżej artykułu (ze skrótami), zamieszczonego na łamach amerykańskiego magazynu „Harpers", jest znanym w USA dziennikarzem, byłym członkiem Narodowego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa USA i wykonywał wiele różnych funkcji w organizacjach amerykańskiego Kongresu.

* ★ *

„Współczesna zagadka polityczna: Jaka grupa składająca się z 11 osób, bliska J. Carterowi, liczy około 70 lat łącznej służby państwowej, zajmuje około 30 stanowisk dyrektorskich w korporacjach a średni dochód na jedną osobę z tej grupy wynosił w 1975 roku 211 tysięcy dolarów?

Odpowiedź: Gabinet ministrów Stanów Zjednoczonych, właśnie ten, który otrzymali Amerykanie. Zwróćmy uwagę, iż podczas kampanii przedwyborczej J. Carter obiecał przeprowadzić czystkę w aparacie państwowym od góry do dołu.

Jak wszystkim wiadomo „klasa" jest jednym z brzydkich słów w amerykańskim leksykonie politycznym, które uważa się za szczególnie gorszące kiedy poprzedza je epitet — „rządząca". Jeśli pominąć głosy wykształconych Amerykanów a także głosy cyników, to badania opinii publicznej świadczą co następuje: w przygniatającej większości nadal wierzymy naiwnie, że w USA istnieje „władza narodu wykonywana przez naród i w imię narodu". I nic bardziej nie przypada do gustu klasie rządzącej, jak takie właśnie retoryczne uznanie rzeczy nie istniejącej. Teraz jednakże wszyscy zdają sobie sprawę, że to co wydarzyło się w Waszyngtonie w styczniu 1977 roku (autor art. ma na myśli dojście do władzy rządu Cartera — red.) jest bardzo dalekie od „powtórzenia się amerykańskiej rewolucji w imię ciemiężonych ludzi".

Nie trzeba być marksistą żeby wykryć, iż we wszystkich zakamarkach „nowego gabinetu" rządzą ludzie, których łączą te same interesy i którzy posiadają takie same cechy. Poświęcają oni swoje życie jednemu tylko celowi, uważają siebie za coś lepszego od innych śmiertelników i w konsekwencji obdzielają władzą ludzi podobnych do siebie. Z której by strony na nich nie spojrzeć, tworzą swego rodzaju polityczną, socjalną i ekonomiczną elitę. A jeśli uwzględnić dużą władzę, jaką posiadają w Waszyngtonie, to stanowią oni klasę rządzącą.

Różnią się od innych tylko wysokością dochodów. Średni dochód członków gabinetu Cartera przewyższa ponad ośmiokrotnie dochody 86 procent amerykańskich rodzin. Ale nasi władcy nie są bogatsi tylko dlatego że są u władzy. Wielu z nich otrzymuje znacznie mniejsze wynagrodzenie kiedy obejmuje stanowiska rządowe. Bogacze nigdy nie zostają urzędnikami państwowymi; co więcej, oni się wcale do tego nie rwą.

Obecnie, przy J. Carterze, Stanami Zjednoczonymi rządzi, jak to często bywało i przedtem, pewna odmiana bogatych i potężnych, którzy się stali jednym i drugim na zasadzie identycznego wzorca życia. Żeby zrozumieć dlaczego ci ludzie tak mocno trzymają się władzy, odgadnąć niektóre tajemnice ich rządów i w ten sposób lepiej sobie uświadomić naszą własną opłakaną sytuację, należy im się najpierw przyjrzeć jako klasie rządzącej (którą niewątpliwie są), powołanej do władzy.

Przede wszystkim zapoznajmy się z krótkimi biografiami niektórych członków gabinetu Cartera. Pięciu ministrów weszło do niego prościuteńko z gabinetu Johnsona, przeczekawszy rządy republikanów (pozostających u wadzy od 20. I. 69 r. do 20. I. 77 r.) w wygodnych „kryjówkach".

Sekretarz Stanu Cyrus Vance. Wykształcenie otrzymane w uprzywilejowanych zakładach naukowych, później ożenek, staż w znanej nowojorskiej firmie adwokackiej wprowadziły go jako protegowanego Lyndona Johnsona, do gabinetu Kennedy'ego, gdzie jego szczególna lojalność pomogła mu, by stał się ważnym choć nieznanym twórcą polityki zagranicznej W konsekwencji, dzięki tymże zaletom został opływającym w dostatki prawnikiem, specjalistą w zakresie prawa korporacyjnego oraz układnym członkiem rad dyrektorów: Fundacji Rockefellera, Pan American, IBM i New York Timesa w okresie prezydentury Nixona i Forda.

Minister obrony Harold Brown. Fizyk, cudowne dziecko w młodości, został administratorem w kompleksie wojskowo-przemysłowym. Ma obecnie 50 lat, a już blisko 20 lat pozostaje na służbie państwowej. Pracował w laboratoriach nad skonstruowaniem bomby jądrowej a następnie, będąc ministrem lotnictwa przy Lyndonie Johnsonie, popierał bombardowania Wietnamu. Będąc prezydentem Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego wywalczył dla tej uczelni państwowe zamówienia wojskowe. Był członkiem rady dyrektorów kilku kompanii (w tej liczbie w IBM wraz z Vancem) i kumulując kilka stanowisk bronił interesów republikanów w charakterze członka delegacji na rozmowach o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Poza estabilishmentem nigdy nie służył innemu panu.

Minister skarbu W. Michael Blumenthal. Wychował się w Szanghaju w rodzinie uciekinierów z Niemiec, w 1947 roku przeniósł się do USA. Przeszedł drogę do doktora filozofii i dzięki swoim kontaktom w The Institut for Advansed Study w Princeton wybił się w rządzie Kennedy'ego-Johnsona, gdzie kierował złożonymi problemami handlu. W trakcie „rundy Kenedy'ego" w latach 60, zręcznie i bez szumu przeprowadził rozmowy w sprawie szerokiej eksploatacji Trzeciego Świata przez korporacje USA i Zachodniej Europy. Kiedy otrzymał propozycję objęcia stanowiska prezydenta Bendix International, stworzył firmę w okresie rządów Nixona i został milionerem. Pożyteczny człowiek w gabinecie rządowym. Poświęca całą swoją znajomość życia, bez wytchnienia i hipokryzji, pomnożeniu swoich dochodów i bogactwa, i jest to dla niego, przynajmniej teraz, w 51 roku życia, coraz bardziej intratnym zajęciem.

Minister zdrowia, oświaty i opieki społecznej Joseph Califano. Istnieją dwa rodzaje waszyngtońskich prawników: upartych jak buldogi oraz giętkich i przebiegłych. Należy on do tej pierwszej kategorii. Mając 46 lat, już od 20 lat wytrwale idzie w górę, zaczynając od wydziału prawa uniwersytetu w Harwardzie. Później praktyka prawnicza w Nowym Jorku i wkrótce stanowisko pomocnika Vance'a w Pentagonie. Dzięki poparciu Vance'a i MacNamary (b. min. obrony USA — red.) został doradcą prawnym prezydenta Johnsona, uparcie popierał wojnę w Wietnamie, ukrywając ile ona kosztowała Amerykanów. Wszedł do wyższych sfer w partii demokratycznej i rozpoczął dochodową praktykę prawniczą w Waszyngtonie. Występując w charakterze przedstawiciela farmakologicznych i chemicznych kompanii oraz innej zamożnej klienteli miał w 1976 roku dochody w wysokości 600 tys. dolarów rocznie.

Minister budownictwa mieszkaniowego i urbanistyki Patricia Harris. Jest kobietą a przy tym Murzynką. Skromnie licząc, posiada 29 zaszczytnych tytułów i zajmuje 40 stanowisk w radach dyrektorów: Chase Manhattan Bank, Scott Piper, Nation Bank of Washington i innych kompaniach i bankach. Po okresie pracy na licznych stanowiskach w rządzie, włącznie ze stanowiskiem ambasadora USA w Luksemburgu w okresie prezydentury Johnsona, oraz wykładowcy na wydz. prawa w Harwardzie, w 53 roku życia, ma obecnie ponad 100 tys. dolarów rocznego dochodu z praktyki adwokackiej, jak również z nieruchomości i akcji, oraz ok. 40 tys. dolarów jako członek kierownictwa wielu korporacji. „Przestałam być negrem dla białych wcale nie dlatego żeby się stać negrem dla czarnych" — powiedziała któregoś dnia.

Tłum. JERZY CZECH

ENKLAWA BOGACTWA I NĘDZY

Trzech żołnierzy-Gurkhów zamiera w postawie na baczność. Następnie jeden z nich robi krok do przodu i przymocowuje do cienkiej linki brytyjską flagę. Jeszcze chwila i już łopoce nad pomnikiem żołnierzy poległych w wojnie opiumowej. Ta krótka ceremonia odbywa się codziennie o godzinie 7 rano przed gmachem Sądu Najwyższego. Tym rytuałem spełnianym przez żołnierzy wojsk najemnych (Gurkhowie zamieszkują środk. Nepal, ich znaczna ilość służyła w brytyjskiej armii kolonialnej — red.). Anglia przypomina światu, że rządzi jeszcze w Hongkongu. Tak oto zachodni najeźdźcy, rozgromiwszy w czasach lorda Palmertsona wojska cesarza chińskiego i odebrawszy Chinom ten bajeczny kawałek ziemi, próbują ożywić cienie przeszłości stwarzając pozory niewiedzy o istniejącym stanie rzeczy.

O twardej rzeczywistości przypomina jednak okazała bryła gmachu Banku Chińskiego położonego nieledwie o kilka metrów od pomnika, przy którym odbywa się codzienna ceremonia wciągania na maszt brytyjskiej flagi. Tutaj bowiem, w biurach Banku Chińskiego, koncentruje się prawdziwa władza w Hongkongu: finansowa, handlowo-przemysłowa i polityczna, a nawet przemysłu turystyczno-rozrywkowego.

Tania siła robocza, bajecznie niskie cła i podatki od obrotu, wolny wywóz kapitałów i zysków — wszystko to czyni z Hongkongu prawdziwy raj dla rzeczników tzw. wolnego handlu rynkowego: Amerykanów, Japończyków, Chińczyków i in. Tutaj spotyka się bogatych biznesmanów obracających ogromnymi kapitałami w dużych firmach handlowych, kompaniach transportu morskiego, kasynach gry, kabaretach, restauracjach itp. itd. Miasto jest jednocześnie i europejskie i chińskie. Dławi się bajecznym bogactwem i przymiera potworną nędzą.

Dzielnica Central jest administracyjno-handlowym ośrodkiem miasta. Tutaj mieszczą się setki banków, kompanii ubezpieczeniowych i firm jubilerskich strzeżonych dzień i noc przez prywatną policję uzbrojoną po zęby. Po ulicach jeżdżą dwupiętrowe autobusy, identycznie jak w Londynie. W eleganckich biurach handlowych usługują lokaje w pasiastych liberiach — jak w luksusowych sklepach na londyńskiej Picadilly. Hongkong jest ważnym centrum przemysłu rozrywkowo-turystycznego. Na wycieczkę do Hongkongu stać tylko bardzo zamożnych ludzi i miasto robi wszystko na co je stać, żeby tylko zaspokoić ich gusty i zachcianki. Nawet nędza, narkomania, prostytucja służą turystyce, wywołując gęsią skórkę nawet wśród najbardziej wybrednych turystów, wzbudzając zachwyt, zgrozę i upojenie — jak głoszą reklamy agencji turystycznych. Dzielnica Wanczaj, w której życie kipi nawet w nocy, w sam raz odpowiada zapotrzebowaniu zblazowanych turystów, pałających żądzą zakosztowania egzotyki. Tu mają mnóstwo pięknych kobiet z pełnym serwisem usług, opium, gry hazardowe, podejrzane lokale z przyćmionym światłem, restauracyjki w których rozbiegają się oczy od niewiarygodnych pokus. A tuż obok nory, w których gnieżdżą się ludzie, gnijąc za życia, ludzie którzy na zawsze stracili nadzieję choćby na minimum ludzkiej egzystencji.

Hongkong wydzierżawiły Chiny Anglikom na okres 99 lat — do 1997 roku. Żyje tu ogółem 4 mln Chińczyków i 45 tys. Europejczyków. Enklawy „broni" 3200 brytyjskich żołnierzy. Jeśli w 1997 roku chińscy żołnierze otrzymają rozkaz przekroczenia „bambusowej kurtyny" oddzielającej Chiny od Hongkongu, angielskim rządcom starczy chyba czasu na spakowanie walizek.

(C)

■ Rozmowy E. Gierka z L. Breżniewem na Krymie
■ Nowa sytuacja w Portugalii
■ Komplikacja stosunków USA – Cypr

Są już tradycją ostatnich lat **przyjacielskie spotkania E. Gierka z L. Breżniewem** w okresie urlopu — na Krymie. Zwykle rozmowa taka służy wymianie informacji o problemach, nad rozwiązaniem których pracują obie partie oraz ocenie realizacji wcześniejszych ustaleń. Ale mówi się wówczas również o aktualnych problemach międzynarodowych.

Komunikat o tegorocznym spotkaniu (miało ono miejsce 3 sierpnia) potwierdza **przywiązanie obu krajów do polityki odprężenia,** która — choć napotyka liczne przeszkody — dominuje w stosunkach międzynarodowych. Niezbędną jednakże przesłanką przezwyciężenia występujących komplikacji jest ścisłe przestrzeganie postanowień Aktu Końcowego KBWE.

Z komunikatu wynika ponadto, że obaj uczestnicy spotkania potępili podejmowane przez USA próby wykorzystania handlu jako narzędzia presji wobec krajów socjalistycznych, a także potępili hegemonistyczną, wielkomocarstwową politykę maoistycznych Chin wobec Socjalistycznej Republiki Wietnamu.

Przywódcy Polski i Związku Radzieckiego wyrazili swoje poparcie dla narodów Afryki, Azji i innych kontynentów, walczących przeciwko imperialistycznej ingerencji w wewnętrzne sprawy niepodległych państw.

* ☆ *

Sytuacja w Portugalii, której poświęciliśmy m. in. poprzedni komentarz, **nadal zwraca uwagę obserwatorów.** Wystąpiły bowiem nowe złożoności. Prez. Eanes, zniecierpliwiony brakiem porozumienia partii co do sformowania nowego rządu, **wystosował coś w rodzaju ultimatum:** jeśli partie do końca tygodnia nie osiągną zgodności w sprawie podstaw utworzenia gabinetu — rozpisze przedterminowe wybory mimo trudności politycznych i technicznych, jakie nastręcza ich przeprowadzenie. Jego zdaniem — wybory zapewniające reprezentację mogłyby się odbyć jednakże dopiero w pierwszym kwartale przyszłego roku.

Socjaliści w odpowiedzi stwierdzili, że nie podejmują się w terminie wyznaczonym przez szefa państwa rozwiązać kryzysu i — co więcej — oskarżyli go, iż usiłuje narzucić swą formułę rządu, opartego na „mediacji prezydenckiej" (choć Eanes podkreślił, że przejęcie przez niego inicjatywy nie oznacza zepchnięcia partii na margines).

Jednocześnie doszły słuchy, iż były premier i przywódca większościowej partii — M. Soares rewiduje swe poprzednie stanowisko w sprawie odmowy przyjęcia misji sformowania kolejnego gabinetu. Byłoby to możliwe — twierdzi się w jego kołach — pod określonymi warunkami politycznymi. Mógłby to być na przykład jednopartyjny gabinet mniejszościowy.

A jakie są stanowiska innych partii?

Portugalska Partia Komunistyczna ustosunkowała się pozytywnie do propozycji prezydenta. Z innych zupełnie względów uczyniło to również **Centrum Demokratyczno-Społeczne,** winne obecnego kryzysu. **Trzy organizacje wielkiej burżuazji** wypowiedziały się wspólnie przeciwko powrotowi do koncepcji rządu, opartego na porozumieniu socjaliści — konserwatyści.

W chwili, gdy odsyłamy komentarz do druku, sytuacja pozostaje niewyjaśnioną i trudno przewidzieć, na jakiej ostatecznie drodze kryzys zostanie przezwyciężony.

* ☆ *

Innym tematem ostatnich dni, żywo komentowanym, jest **decyzja Waszyngtonu o zniesieniu embargo na dostawy broni do Turcji.** Sprawa ma szerszy wymiar — dotyczy bowiem wcale nie pośrednio problemu Cypru.

Dlaczego — wyjaśnimy najlepiej, przedstawiając na ten temat opinie prezydenta Cypru i rządu greckiego.

Prez. S. Kiprianu powiedział, iż jest to jednoznaczne z zalegalizowaniem przez USA inwazji tureckiej na Cypr w lipcu 1975 roku, która dokonana została przy użyciu broni amerykańskiej oraz z zaaprobowaniem niesprawiedliwości, jakie odtąd mają miejsce.

Rząd grecki oświadczył natomiast, że decyzja amerykańska grozi dodatkowym utrudnieniem w rozwiązaniu problemów, ponieważ może dać Turcji podstawy do nieprzejednania.

Pikanterii dodaje fakt, iż jesienią mają się rozpocząć rozmowy na temat powrotu Grecji do wszystkich instancji politycznych i wojskowych NATO, które Grecja opuściła po interwencji tureckiej na wyspie. Czy w tej sytuacji do nich dojdzie — zastanawiają się niektórzy komentatorzy.

Decyzja Waszyngtonu odbiła się szerokim echem i **rzeczywiście może jeszcze bardziej skomplikować sytuację Cypru.** A podjęta została — jak mówi się w kołach atlantyckich — dlatego, że Turcja jest „ważnym elementem południowej flanki NATO".

Jak widać, ostatnio mnożą się ze strony USA fakty, które nie służą odprężeniu...

W. SŁAWSKI

JERZY URBANKIEWICZ

PODWÓJNY JUBILEUSZ „EMPIKU"

W lodzianach utwierdziło się przekonanie, że mnóstwo potrzeb kulturalnych zaspokoić można w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — w „Empiku". Ten skrót określa popularność instytucji, a powstawał, krzepł i wdzierał się w świadomość mieszkańców naszego miasta przez lat trzydzieści. Klub otworzył bowiem podwoje w lutym 1949 roku, jako drugi w kraju, krzywa rozwoju znaczyła wzloty i upadki, aż do stanu dzisiejszego rozwoju i, z jednego punktu widzenia, niedorozwoju. Osiadł przy Piotrkowskiej 55, po dwóch latach poprawił sobie warunki lokalowe, przenosząc się na Piotrkowską 86. Wpływ tych warunków na charakter działania i jego rozmach już tu się ujawnił.

Obok istniejącej wcześniej czytelni czasopism krajowych i zagranicznych otwarto księgarnię proponującą książki nie tylko w polskim języku. Znalazło się też trochę miejsca na sztukę plastyczną: to właśnie tam i wtedy poczęto sprzedawać reprodukcje obrazów oraz urządzać wystawy. Kiedy zaś do tego doszły jeszcze imprezy artystyczne innego rodzaju, spotkania i nauka języków obcych, zrobiło się znów ciasno. Marzenia o przestrzeni miały się ziścić, kiedy zostanie oddany do użytku dom przy Narutowicza 8/10, obecna siedziba klubu. Dom oddano. Było o nim głośno w prasie: Mister Łodzi, rewelacja. Entuzjazm ochłódł z nadejściem jesiennych chłodów. Żartowano, że słuchacze kursów językowych używają z zimna nauszników. A był to przedsmak nie znanych wtedy jeszcze laboratoriów i słuchawek. Ale i to się dotarło. Do tego w każdym razie stornia, że jeżeli Pan Dozorca jest w dobrym humorze, w salach wykładowych rozchodzi się, kiedy trzeba, miłe ciepło.

Nie od razu ustalił się krąg właściwych sympatyków i bywalców klubu. W nowym lokalu otwarto np. kawiarnię. Pewna grupa młodzieży zrozumiała ten gest niewłaściwie. Kawiarnia, to kawiarnia. Poprosimy butelkę wina marki „Wino" i paczkę „Sportów". Ale i ten kryzys minął. Zdaje się, że zakaz palenia we wszystkich pomieszczeniach klubowych stanowił posunięcie doniosłe. Dziś na ogół wie się, jakie usługi klub proponuje oraz jakich potrzeb w nim zaspokoić nie można. Sala imprez jest wykorzystywana codziennie. Na wystawy, głównie artystyczne, na spotkania ze specjalistami wszelkich dziedzin, na imprezy okolicznościowe, kulturalno-rozrywkowe.

Nad takim obliczem klubu czuwa jego obecny kierownik **Franciszek Nowakowski.** Niepodobna zaś nie wspomnieć pięknej postaci mgr **Edmunda Popławskiego,** który przeprowadził tę instytucję przez trudności powstawania i rozwoju i wywarł zasadniczy wpływ na jej charakter. Oczkiem w głowie Edmunda Popławskiego były języki obce. I tu, jako człowiek przez długie lata związany z „Empikiem", opiszę wydarzenie, które wyda się śmieszne dzisiejszym lektorom i słuchaczom korzystającym z laboratoriów i znakomitych nagrań. Do roku 1962 uczyliśmy angielskiego w oparciu o dość nudny podręcznik Hornby'ego. Chyba jesienią tamtego roku mgr Popławski zaprosił mnie na rozmowę. Odwołał się do mojej, jak to nazwał, „energii, rzutkości i odwagi", pokazał taśmę magnetofonową z nagranymi ćwiczeniami oraz pierwszy magnetofon i zaproponował oparcie lekcji angielskiego o te ćwiczenia. Zaproponował też stawkę o 20 zł wyższą. Na świadka tego historycznego wydarzenia mógłbym powołać dr **Irenę Granicką,** która już wtedy sprawowała pieczę nad klubową dydaktyką i, zdaje się, z zainteresowaniem, a na pewno życzliwością śledziła te, pożal się Boże, eksperymenty.

Entuzjazm dla nauki języków obcych przejęła od swego zasłużonego poprzednika **Anna Gonciarek** i jest dziś kierowniczką szkoły, do której rokrocznie zapisuje się około 1400 słuchaczy. Mogłoby być dwa razy tyle. Ale oto dochodzimy do wspomnianego wyżej jednego punktu niedorozwoju: lokal. Właściwie to już przed 13 laty, a więc w momencie zajmowania, lokal przy Narutowicza 8/10 był za mały na potrzeby klubu. Toteż lekcje odbywają się w salach przy ul. Roosevelta 17 i Kopcińskiego 20. Nie sprzyja to działalności instytucji tak pożytecznej, tak potrzebnej, jak Klub Międzynarodowej Prasy i Książki.

Kursy języków obcych otwarto przed dwudziestu laty, a więc to inna rocznica. W minionym roku szkolnym 1977—1978 zgłosiło się 1361 słuchaczy, którzy uczyli się na 65 kursach, u znakomitych lektorów, będących przeważnie pracownikami wyższych uczelni. Jak zwykle najwięcej chętnych było na język angielski, a następnie kolejno — na niemiecki, francuski, rosyjski, włoski i szwedzki. Obserwuje się też pewne zainteresowanie innymi językami, np. hiszpańskim. Niestety, szczupłość pomieszczeń stanowi czynnik ograniczający. Zresztą nie dostają się też wszyscy chętni na naukę tamtych języków. Z tych samych względów.

Dlaczego ludzie uczą się języków obcych?

Bardzo niewielu jest takich, którzy widzą w bliskich swoich planach wyjazd za granicę. Częściej są to ludzie mający wyższe wykształcenie, czujący potrzebę sięgania do fachowej literatury obcojęzycznej. Niektórzy nie wykluczają możliwości późniejszego wyjazdu, inni wreszcie odczuwają potrzebę kontaktu z kulturą obcego kraju, jako uzupełnienie własnego wykształcenia, bez widoku na jakiekolwiek doraźne korzyści. Trzeba przyznać, że dla dorosłego, pracującego człowieka nie jest rzeczą łatwą spędzanie tygodniowo sześciu godzin w sali wykładowej lub laboratorium językowym, do tego trzeba dodać dwie — trzy godziny na dojazdy i tyle samo na przygotowanie się. Zakłady pracy rzadko uznają potrzebę znajomości języków obcych jako korzystną dla siebie, ci więc, którzy zaczynają naukę i ją we właściwym czasie kończą, mogą być uznani za cichych bohaterów. Otrzymują świadectwo klubu, niektórzy zgłaszają się do liceów ogólnokształcących, które zarządzeniem ministra organizują tzw. egzaminy państwowe i wydają świadectwa z pieczęcią kuratorium. Wreszcie — zapłatą za trud jest, że tak powiem, okno otwarte na kulturę i wiedzę danego kraju.

Przed laty typowy kurs trwał cztery lata, przy dwóch dwugodzinnych lekcjach tygodniowo. Od pewnego czasu przeważają kursy przyśpieszone: dwuletnie, przy trzech podwójnych lekcjach tygodniowo. „Empik" prowadzi też kursy intensywne, trwające tylko jeden rok. Tu jednak trzeba mieć czas na dwanaście lekcji tygodniowo i przygotowanie się do nich. Doświadczenie uczy, że jeśli są takie możliwości, to gra warta świeczki, bowiem im krótszy, a bardziej intensywny okres nauki, tym efekty są lepsze. Ogólnie można powiedzieć, że ukończenie każdego z tych kursów stanowi gwarancję opanowania podstawowych umiejętności w zakresie języka: mówienia, rozumienia, pisania i czytania w zakresie pozwalającym na dość swobodny kontakt z ludźmi z danej strefy językowej i swobodny kontakt z literaturą. Oczywiście o zapomnienie zdobytej wiedzy przez jej nieużywanie jest bardzo łatwo. Klub oferuje więc kursy konwersacyjne, na których można bezboleśnie utrzymać, a nawet rozwinąć osiągniętą znajomość języka.

Wyrażając uznanie dla tych wszystkich, którzy znajdują czas na naukę języka obcego w nawale zajęć zawodowych, niepodobna pominąć fakt, że na kursach językowych prowadzonych przez wszelkie instytucje tego typu jak KMPiK ujawnia się „słomiany ogień", jako dość rozpowszechniona wada Polaków. Poświęcanie owych dziesięciu godzin tygodniowo na naukę języków obcych, w nawale zajęć zawodowych i rodzinnych można nazwać bohaterstwem i zrobiłem to wyżej. Ale żadna z tych mniej systematycznych osób nie potrafiła mi nigdy wyjaśnić, dlaczego choroby własne i rodzinne, delegacje służbowe i godziny nadliczbowe nie zdarzają się na ogół w październiku i listopadzie, pojawiają się natomiast w grudniu, rosną w karnawale i uniemożliwiają dalszą naukę około Wielkanocy.

Tegoroczne, dwudzieste zakończenie roku szkolnego miało charakter, jak na jubileusz przystało, uroczysty. Kierowniczka kursów językowych, **Anna Gonciarek,** interesująco ujęła sens nauki tych języków.

— Kursy nasze nie tylko zaspokajają głód wiedzy: zaspokajają one także potrzeby innego rodzaju — potrzeby kontaktu z inną kulturą, z innym sposobem myślenia, z innym sposobem widzenia rzeczywistości. Amerykański językoznawca Benjamin Whorf postawił kiedyś hipotezę, że nasze widzenie świata zależne jest od naszego języka ojczystego. Uczony ten twierdził, że język, jak kolorowe okulary, pozwala nam widzieć świat w takich, a nie innych barwach, przy czym każdy naród mówiący innym językiem widzi ten świat w odmiennych, dla siebie tylko charakterystycznych kolorach. Choć dla wielu ludzi, którzy nad tym nigdy się nie zastanawiali, pogląd taki może wydać się niewiarygodny, to jednak Whorf przytoczył na poparcie swej tezy wcale przekonywające argumenty. Tak więc jedno z plemion indiańskich Ameryki Północnej używa jednego tylko określenia dla oznaczenia tak różnych dla nas rzeczy, jak samolot, lotnik i motyl. Arabowie zakochani w koniach, nie mają podobno jednego ogólnego słowa dla określenia pojęcia „koń". Znają kilka określeń odrębnych dla poszczególnych typów czy też ras konia. Podobnie znany jest fakt, że Eskimosi używają kilkunastu określeń dla oznaczania różnych rodzajów śniegu.

W ten dziwny świat ludzkiego myślenia i odczuwania wprowadza nauka języków obcych. Codzienne imprezy klubowe udostępniają inne dziedziny przeżyć kulturalnych i wiedzy. Z okazji podwójnego jubileuszu jest się czym chwalić.

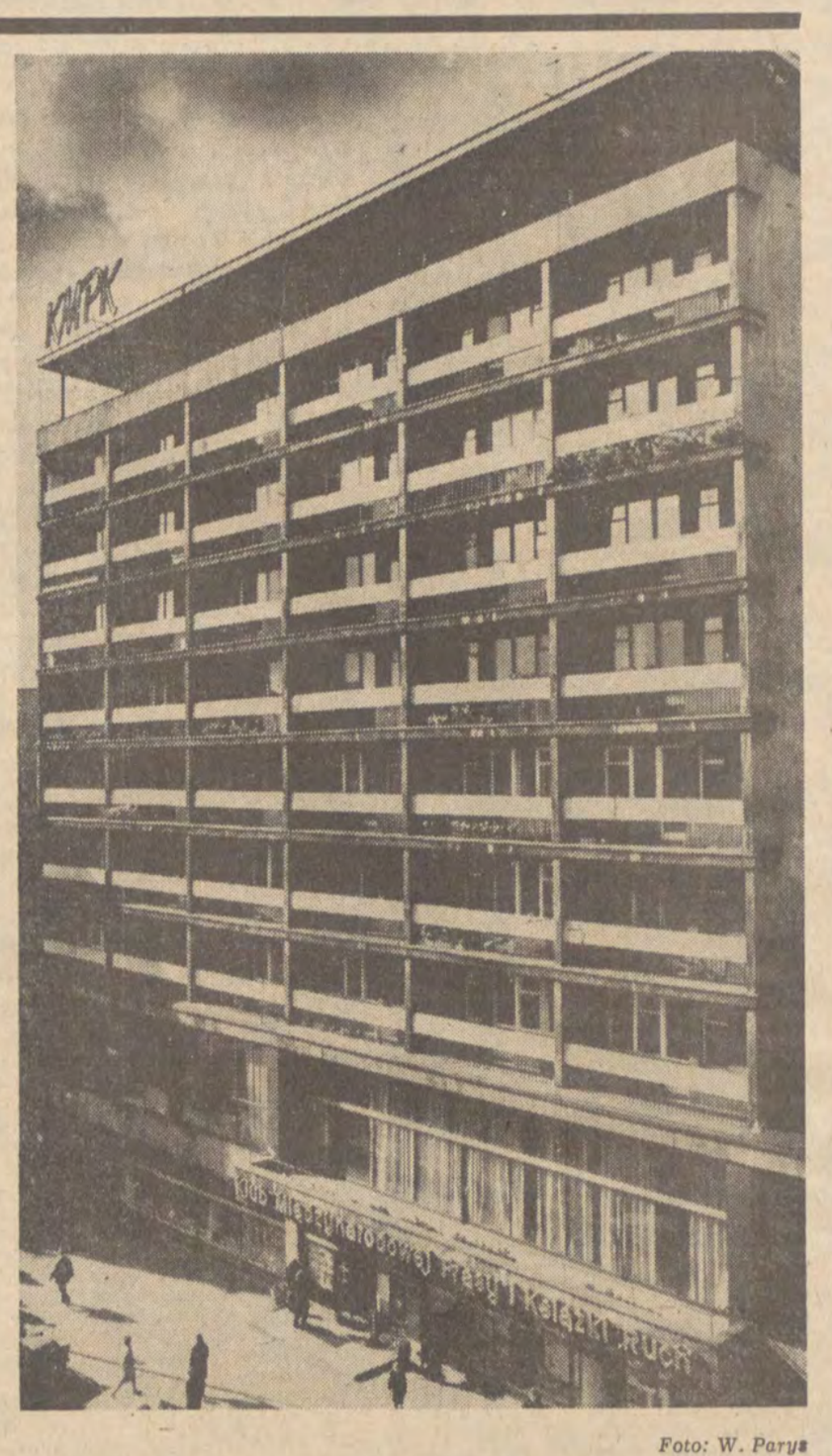

Foto: W. Pary

JAN BĄBIŃSKI

WIEŻA BABEL

Powiada się, że z angielskim można dziś objechać cały świat. To język, którym wszędzie można się porozumieć. Po angielsku dogada się człowiek na Bliskim i Dalekim Wschodzie, w Afryce i oczywiście w Ameryce. Istotnie hotelarze i restauratorzy w całym niemal świecie w jakiejś mierze potrzebne im minimum angielszczyzny opanowali. Nie jest to wprawdzie Queen's English", zawsze jednak nawet azjatycki „pigdin english" bardziej jest zrozumiały niż jakikolwiek inny język w tej części świata.

Angielski to dziś „lingua franca". Pytanie jak długo jeszcze?

I to pytanie wcale nie jest bezpodstawne. Przekonują się o tym ci wszyscy Amerykanie, którzy przybyli na letnie wojaże do Europy. Przeżywają szok podwójny. Ten językowy właśnie. I ten cenowy. Bo okazuje się, że ta angielska angielszczyzna coraz bardziej się oddala od angielszczyzny amerykańskiej. Czasem ma się wrażenie, że to już dzisiaj dwa różne języki. Kiedy Anglik mówi na windę „lift", to Amerykanin mówi „elevator". Takich przykładów można by mnożyć w tysiące. „Knock up" to po angielsku zbijać punkty w krykiecie albo obudzić kogoś stukaniem. „Knock up" po amerykańsku to — „podbić dziewczynie brzuch".

I bądź tu mądry.

Dogaduj się z londyńczykiem, który ma gdzieś zarówno „Queen's English" jak „BBC-English" i mówi swoim własnym, dzielnicowym niekiedy dialektem. Nawet profesor, który taką cudną angielszczyzną przemawiał z katedry, jak tylko wyjdzie po wykładzie na korytarz, zaczyna mówić całkiem innym językiem. Dobrze trzeba ucho natężyć, by zrozumieć chociażby co drugie słowo z tej potocznej angielszczyzny, którą mówi się właśnie na co dzień. Anglicy mają przynajmniej ów niepodważalny językowy autorytet jakim jest „BBC-English". Amerykanie nawet tego nie mają. Dialektów tam mrowie. Każdy gada jak mu się podoba. Bo co innego Kalifornia, co innego Chicago, a co innego Georgia ze swym śpiewnym i dziwnym akcentem, który tak zaskakuje nowojorczyków w ustach Jimmy Cartera.

Tu bariera jest.

I będzie się wciąż podnosić.

Bo każdy żywy język ustawicznie się zmienia. Działają nań ogromne siły wyrażające się interesami klas, społecznych grup i profesjonalnych środowisk.

Fizycy mówią dziś językiem hermetycznie dla innych zamkniętym. Inny jest język bankierów, inny filozofów. Inaczej mówi farmer z Kentu, inaczej profesor Oxfordu, a jeszcze inaczej górnik z Appalachów. Te różnice wcale się nie zacierają. Wręcz przeciwnie. Ciągle wzrastają. I to w tempie raczej przyspieszonym. Mówi się już dziś żartobliwie, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, to dwa narody rozdzielone tym samym językiem.

W tym niby żarcie ogromnie jest dużo prawdy.

Bo język amerykański coraz bardziej oddala się od angielskiego w jego dawnej i czystej postaci. Anglik coraz mniej rozumie Amerykanina, Amerykanin coraz mniej pojmuje londyńczyka. Ten proces się pogłębia. Jest zresztą naturalny. Ostatecznie spośród 50 mln Brytyjczyków 47 mln nigdy nie wdepnęło na ląd amerykański. Spośród 220 mln Amerykanów 200 mln nigdy Anglii nie odwiedziło. Oba te narody rozdziela ocean. Co zaś do języka, to angielski bardziej jest mimo wszystko zachowawczy, natomiast amerykański ulega ciągłym i gwałtownym przeobrażeniom.

Więc jest szok językowy i jest też szok cenowy.

Amerykanie, którzy w czerwcu i lipcu odwiedzili Europę, przecierają oczy. Rany boskie, co się dzieje!? Dzieje się rzeczywiście wiele. Dolar nie ten co kiedyś. Już mało kto przed dolarem czapkuje.

W eleganckim londyńskim „Claridgeu" płaci się za dobę w dwułóżkowym pokoju 112 dolarów. Jedna doba w hotelach podrzędnych, określanych przez Amerykanów jako zdecydowanie „filthy", kosztuje minimum 27 dolarów. Porcja lodów na „Hyde-Park-Corner" kosztuje półtora dolara.

Niezorientowany często w sytuacji Amerykanin wchodzi do paryskiej restauracji, zamawia porcję szparagów w białym sosie i ku swemu zdumieniu spostrzega potem, że rachunek opiewa na 20 dolarów; za butelczynę wina „Chateau Latour" trzeba wyłożyć 217 dolarów. Noc w hotelu „Sheraton", więc klasy raczej średniej, kosztuje 90 dolarów. I tak wszędzie. Jak Europa długa i szeroka. Za obiad w rzymskiej restauracji zamówionej „a la carte" płaci się 50 dolarów. I to bez wina i koktajli. Najtańszym z turystycznego punktu widzenia krajem zachodniej Europy jest wciąż Hiszpania. Noc w niezłym hotelu kosztuje w Andaluzji średnio 15 dolarów, obiad jakieś 8 dolarów. W sumie jednak trzeba mieć porfel solidnie nabity, żeby się dziś wybrać na urlopowy wojaż po zachodniej Europie. Tanie to są tam tylko banany. A i to nie zawsze.

Robert Burchfield, redaktor naczelny słownika „Oxford English Dictionnary" oświadczył niedawno, że za lat 200 Amerykanin już Anglika nie zrozumie.

Tak jak dziś Rumuni nie rozumieją Portugalczyków, choć niegdyś oba te narody, podobnie zresztą jak Włosi czy Francusi mówili w przybliżeniu tą samą łaciną i doskonale mogli się porozumieć. Z czasem z łaciny wykształciły się odrębne języki. To samo dzieje się dziś z językiem angielskim. Przeobraża się. Jest inny w Londynie, inny w Los Angeles, inny w Kanadzie, a jeszcze inny w Australii. I te różnice będą się potęgować. Jest to proces nieunikniony, którego już nic prawdopodobnie powstrzymać nie zdoła...

Wielu na Zachodzie chciałoby wskrzesić te stare i dobre czasy. Był przecież taki okres w dziejach Europy, że ludzie wykształceni posługiwali się łaciną z dużą raczej swobodą. To był ten międzynarodowy język, którym wykładano na uniwersytetach. Dziś w krajach EWG znów się mówi o łacinie. Może by przywrócić obowiązkową naukę tego języka we wszystkich bez wyjątku szkołach? Może właśnie łacina mogłaby być wspólnym językiem krajów zgrupowanych w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej". Bo angielski nie ma szans. Francuzi dostaliby chyba furii. Francuski się nie przyjmie. Anglicy by chyba dostali białej gorączki. A o niemieckim nikt nawet nie wspomina.

Odgrzebać łacinę?

Bardzo, ale bardzo to wątpliwe, by ten szczytny skądinąd zamiar mógł kiedykolwiek w przyszłości się powieść. Tak więc nasz glob jest Wieżą Babel. Niestety, ta wieża staje się raczej wciąż wyższa niż niższa.

zdarzenia i zwierzenia

DZIWNE słowo CZCIONKA

Opowiadał mi pewien pisarz, że kiedyś na wieczorze autorskim miał zabawne nieporozumienie. Otóż, pisarz ten przeczytał swój wiersz, w którym stwierdził, że jego słowa skazane są „na perl, brylant i diament". Zwrot ten przyjęto za niesmaczne zarozumialstwo — kojarząc „brylant i diament" ze szlachetnymi kamieniami...

A rzecz się miała odwrotnie — to skromność podyktowała autorowi te słowa, bowiem mianem brylantu i diamentu określa się najmniejsze z istniejących czcionek drukarskich.

Pomyślałem sobie wówczas, że może warto napisać felieton o czcionkach. Owe perle, diamenty i brylanty to czcionki tak małe, że trzeba zaiste jubilerskiej precyzji, aby je wykonać. Niestety, nie możemy ich zaprezentować na łamach „Odgłosów", bo w naszej drukarni ich po prostu nie ma, a gdyby były, i tak tekst nimi drukowany na naszym papierze i naszą farbą byłby zupełnie nieczytelny. Zresztą te wielkości (czy raczej „małości") nie mają w ogóle szerszego zastosowania w praktyce.

U nas największą używaną czcionką bywa cycero. Jest to czcionka bardzo stara, już w roku 1466 drukowano nią pisma i listy Cycerona (stąd zapewne nazwa) w oficynach drukarskich Piotra Schoeffera i Ulricha Hana.

Nieco mniejszy jest garmond. Nazwa ta wywodzi się od nazwiska głośnego typografa z XVI wieku, Claude Garamonda. Tę wielkość czcionki nazywa się też niekiedy korpusem, bowiem podobno pierwsza książka drukowana w ten sposób nazywała się „Corpus juris".

Najczęściej u nas stosowaną czcionką jest petit. Po francusku znaczy to po prostu „mały". Kiedy po raz pierwszy wygrawerowano tę czcionkę o wysokości niewiele przekraczającej 3 milimetry — wydawało się, że jest to szczyt typograficznych możliwości, i że już nic mniejszego nie da się wykonać.

Rychło jednak typografowie wykonali czcionkę mniejszą od „małej" i nazwano ją (znów po francusku) „mignon", co oznacza drobną koronkę. W Polsce używa się na określenie tej wielkości czcionki nazwy „colonel".

Rozwój techniki drukarskiej postępował jednak nieprzerwanie i wkrótce wyprodukowano czcionkę jeszcze mniejszą od „drobnej koronki". Jak więc ją nazwać, skoro wszelkie adekwatne określenia zostały już wyczerpane? Tak więc Francuzi nazwali tę czcionkę „non pareille" czyli nieporównany. Ale i to okazało się nieprawdą, bowiem nonpareil wcale nie okazał się nieporównany. Jak już wspomniałem, powstały jeszcze te jubilerskie czcioneczki o wysokości od jednego milimetra do niecałych dwóch.

Wiktor Frantz w swojej książce **„Philobiblońska suita"** pisze, że wszystkie te wymienione wyżej wielkości: od cycera do nonparelu używane są do składania tekstów (tytuły to osobna sprawa) i dlatego przez Niemców określane są jako „Brotschrift" — chlebowe pismo. Czyli pismo powszechne jak chleb, którego używa się stale, w odróżnieniu od pism akcydensowych używanych od czasu do czasu dla specjalnych, nietypowych prac.

Czcionka — maleńki drukarski znaczek, drobina ołowianego stopu — a ile treści może nieść i ile w niej samej tkwi treści. Dlaczego jednak ta drobina ołowianego stopu nazywa się po polsku czcionką? Nie wiem. Nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie, ani w **„Słowniku Języka Polskiego"**, ani w **„Encyklopedii Wiedzy o Książce"**, ani w **Encyklopedii Wiedzy o Prasie"** ani w **WEP...** Czcionka i tyle. W innych językach nazywa się dosłownie — typograficznym znakiem, typem pisma, znakiem książkowym. A u nas — czcionka. Dziwne słowo, które nie wiadomo skąd się wzięło i kto je wymyślił. Okazuje się więc, że mała drukarska czcionka oprócz bogactwa treści kryje w sobie także tajemnicę.

WIDOK

PREZES I VENUS

Wenus z morza, z piany powstała.
Jesteś bóstwem — to znów taka mała,
że chwyciłem cię w dłonie,
to cię znów tracę, za tobą łzy ronię.
w kobietach cię widzę, za każdą gonię.

Ten wiersz napisał malarz, jeden z najciekawszych i najtragiczniejszych malarzy polskich, subtelny acz śmiały kolorysta, wielbiciel opalizujących aktów doskonały i lekki rysownik kobiecego ciała, Wojciech Weiss, najmłodszy uczeń Jana Matejki. Przypomniał mi się ten fragment, gdy już napisałem niniejszy felieton i dlatego umieściłem go na samym początku, żeby — jak to się mówi — zgrabniej wejść w temat.

Gdyby to ode mnie zależało, to Prezesowi Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego Władysławowi Klimczakowi, wystawiłbym pomnik, okazały ma się rozumieć i wielce alegoryczny. Miast cokołu lub kolumny kazałbym biegłemu w swym fachu artyście wyrzeźbić gołą kobitkę (duuuże, niebieskie oczy, wymiary podstawowe 96 — 45 — 96), trzymających na smukłych (smagłych, toczonych) ramionach pieczęć miasta Krakowa, na której to pieczęci, jak na starożytnej arenie, Prezes Klimczak tłamsiłby okrutnie, niczym święty Jerzy, bigota i kołtunkę (Zresztą kogo by tam on tłamsił, to sprawa do uzgodnienia). A ustawiłbym ten pomnik bohaterskiego prezesa vis a vis pomnika Joanny d'Arc, na Placu St. Augustin w Paryżu Dziewica Joanna jest na nim zakuta od stóp do głów w żelazne zbroje, że tylko czubek noska (a musiała mieć figlarny ten nosek, nie mówiąc o reszcie, skoro całe pułki żołdaków szły za nią jak w dym) jej spod nawisłego hełmu widać i — być może — takie właśnie sąsiedztwo stanowiłoby dla niej pewną przyjemność i rekompensatę, przynajmniej w sferze ducha.

Zilustrowana by w ten sposób została (między innymi) odwieczna prawda, że kobieta, niezależnie od tego, czy jest ubrana czy też goła, przysparza zawsze sporo kłopotów, a gdy się uprze, to i jeszcze więcej.

Faktem jest, że Prezes Klimczak przez ostatnie osiem lat z hakiem dał się poznać jako zagorzały propagator i szermierz golizny (artystycznej, oczywiście), a takoż, jako wytrawny i odpowiedzialny ekspert w tejże kwestii, nieprostej przecież dla sarmackiego ludu. Okazało się zresztą, że golizna (ciągle mówimy o artystycznej) jako problem sam w sobie nie jest łatwa i dla innych nacji, czego oczywistym i ewidentnym dowodem, że krakowski Salon Fotografii Artystycznej Aktu i Portretu jest jedynym tego rodzaju salonem na świecie. Salonem międzynarodowym z już siedemnastą w tym roku ekspozycją, na którą przysyła rokrocznie swoje prace ponad 1000 artystów-fotografików z całego dosłownie świata, bo z około 60 krajów. I wszystko wskazuje na to, że goła Pani Venus zadomowiła się na stałe (życzę jej tego osobiście z całego serca) w podwawelskim grodzie, po zaułkach którego przemyka od czasu do czasu naga dusza Przybyszewskiego Stasinka, wlokąca za sobą korowód niekoniecznie przyodzianych wyznawców. Doprawdy, miła Venus, nie mogłaś sobie znaleźć lepszego miejsca na ziemi. W Krakowie zawsze znajdowali się ludzie wrażliwi na piękno niewieściego ciała (zwłaszcza, gdy było ono ciut-ciut rozebrane).

Masz zresztą tutaj wszystko, co pięknej kobiecie potrzeba, gorących wielbicieli, rycerzy gotowych stoczyć najzacieklejszy bój w obronie twej cnoty i niecnoty, znawców wytrawnych twej nagości, subtelnych miłośników formy, w jaką cię Stwórca łaskawy, przezorny, a przewrotny raczył przyoblec, a także niemały tłumek tych, co mają ci za złe wszystko, a najpierwej to żeś młoda, piękna i naga, w pełnym świetle dnia, a nie pod pierzyną, w dusznym pokoju, przy szczelnie zasłoniętych oknach i zgaszonym świetle. Przyznasz zresztą, piękna Venus, odwieczna Ewo, że gdyby nie to coroczne opluwanie twych wdzięków i gorszenie się na twą bezkarną bezwstydność, cała ta sprawa z Salonem i Prezesem byłaby właściwie nudna. Ilekroć dwa razy do roku objawiasz się w salach Salonu, w całej krasie swych wdzięków, w setkach wariantów — a jednak ciągle ta sama — czynisz misterium, którego nic nie może zastąpić. Bo cóż może zastąpić nagie ciało młodej kobiety, utrwalone wrażliwością i techniką artysty? Chyba tylko kobieta żywa, ale to już jest inna i zupełnie inna sprawa i tu ją z różnych względów pominiemy.

Ale też faktem jest, że ilekroć Salon Aktu i Portretu otwiera kolejną swoją ekspozycję (a z racji ogromnej ilości nadsyłanych prac dzieje się to dwa razy do roku), natychmiast podnoszą się głosy oburzenia i protestu (święte głosy pod niebiosy), że znowu to świństwo, co nie wiadomo gdzie się „ulungło", sieje ogólne i publiczne zgorszenie i deprawację i czas z tym skończyć. Te głosy nie są wcale mniej liczne niż w roku 1970, kiedy to wystawa „Venus" odbyła się po raz pierwszy. Różnica jest może tylko taka, że ci, którzy zapomnieli, że sami urodzili się nadzy, że każdy człowiek nagim się rodzi, wtedy wydzierali się histerycznie, a dziś szepcą lub potępiają półgłosem. Ej, biedneż ty ciało dziewczyńskie, rozebrane do cna, z giezełka nawet, ileż tyś musiało wycierpieć przez te całe stulecia swego istnienia (choć przyznasz, że byłv onegdaj czasy, gdy ci się powodziło całkiem, całkiem, a i teraz u wielu zaznajesz ciepłego przyjęcia a są i tacy, artyści na przykład czy specе od reklamy, którzy po prostu bez ciebie żyć nie mogą).

Opowiadał mi mój znajomy, którego syn chodzi do szkoły że nauczycielka na lekcjach wychowania estetycznego podtyka dzieciom na okrągło Matejkę, Gierymskich, Wyczółkowskiego, Rodakowskiego i takich innych. Na pytanie, zadane zresztą na wywiadówce przez ojca tak „specjalistycznie" edukowanego dziecięcia, czym kierowała się, układając taki właśnie „program" kursu historii sztuki, dlaczego nie uwzględniła w nim na przykład Giotta, Masaccia, Fra Angelico, Cranacha, Tycjana, Rubensa, Modiglianiego i paru jeszcze innych odparła, że jedni malowali „święte obrazki", a drudzy świńskie sceny z gołymi kobietami. A rzecz działa się w jednej ze szkół warszawskich, a nie w żadnej przysłowiowej Mławie.

A widzisz, sprośny Rubensie! A dobrze ci tak, pijaczyno Modigliani, co ci się gołe dziwki zachciewało malować, i tobie dobrze, Manecie, co sobie śniadanka ze striptisem na trawce urządzałeś, i tobie dobrze, panie Renoir, za twoje soczyste tyłki i jędrne, słoneczne piersi. A także bardzo dobrze, że istnieją i wykonują oficjalnie swój zawód takie lwice moralności, co wierzą święcie, że Emilia Plater (pułkownik) umarła w pełnym dziewictwie i że dzieci ciągle się znajduje w kapuście. Mój znajomy zastanawiał się poważnie, czy czasem na ową nauczycielkę nie nasłać milicji albo prokuratora, bo w kuratorium ktoś tam powiedział mu, żeby się do programu nauczania nie wtrącał... Próbowaliśmy całą sprawę „rozebrać" przy pomocy pół litra, ale doszliśmy do tak ponurych konkluzji, że i wódka przestała nam smakować.

Prezes Władysław Klimczak, udzielając onegdaj wywiadu dla tygodnika „Kulisy", wyznał szczerze, że gdyby wiedział dziesięć lat temu, co mu za los zgotują te gołe Ewy, poważnie by sprawę przemyślał i nie wiadomo, czy sięgnąłby po ten owoc zakazany, jakim było zorganizowanie Salonu Aktu i Portretu. Bo chyba niewielu mężczyzn w historii dostało takie ciągi, osłaniając własną piersią obnażone piersi Venus. Ale dziś sam przyznaje, że Venus potrafi być wdzięczna, wspaniałomyślna i hojna. Wysoki poziom artystyczny Salonu utrwalił się i osiągnął sławę międzynarodową. To, co nie udało się we Francji, Jugosławii, Anglii, gdzie próbowano stworzyć podobne salony, udało się nad Wisłą. Cóż, my Sarmaci, mieliśmy zawsze słabość do pięknych kobiet nawet, jeżeli jawią się naszym oczom tylko na fotogramach jako dzieła sztuki fotograficznej. Ponieważ zaś wiem, że Venus nigdy się nie zestarzeje, życzę Salonowi stu lat działalności. Tylko może by tej Venus dać nieco lepsze mieszkanie, bo biedactwo w tym pokoju z kuchnią się dusi.

ANDRZEJ GRUN

DZIWNE PRZYGODY PEWNEJ KSIĄŻKI

Wiosną 1828 r. w **„Rozmaitościach Warszawskich"**, piśmie dodatkowym do **„Gazety Korespondenta Warszawskiego"**, ukazała się powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniej pt. **„Grób rodziny Reichstalów"**. Redaktorem „Rozmaitości Warszawskich" był **Franciszek Salezy Dmochowski**, autorem zaś owej oryginalnej powieści — nie wymieniony z nazwiska syn generała Wincentego, **Zygmunt Krasiński**. „Grób rodziny Reichstalów" — pierwsza próba literacka młodego, szesnastoletniego zaledwie studenta uniwersytetu doczekała się do dziś wielostronnych analiz krytycznych. W tymże samym 1828 r. przedsiębiorczy wydawca zwietrzył dobry interes i ogłosił rzecz osobno w postaci zgrabnego niewielkiego druczku, ujawniając nazwisko autora. I oto ni stąd ni zowąd wybuchnął skandal w pałacu Krasińskich. „Babula" jak ją nazywał Zygmunt, starościna opinogórska **Antonina z Czackich Krasińska**, srogą reprymendę wyciąwszy wnukowi wezwała Dmowskiego, wykupiła nakład, polecając jego zniszczenie. Bo jakże to, dziedzic bojowej chwały ojca, były adiutant „Orlątka", ex-króla Rzymu, skrobipiórkiem, piszącym w guście tej nowomodnej szalonej literatury, tak niemiłosiernie wyszydzanej na uczonych obiadach czwartkowych u hr. Wincentego.

Historyk literatury **Józef Kallenbach** widział tę książeczkę i opisał dokładnie, określając ją mianem „rzadkiej broszury", **Jan Czubek** oglądał w Bibliotece Jagiellońskiej do dziś zachowany egzemplarz z wyciętym na karcie tytułowej nazwiskiem autora, co znalazło potwierdzenie we wszystkich publikacjach omawiających tę najwcześniejszą publikację autora „Nieboskiej komedii". I oto niespodzianka: Trafiła do moim zbiorów w sposób zgoła nieoczekiwany, sfatygowana długim użyciem, między innymi przez uczennice „Bezpłatnej Szkółki dla dziewcząt" w Łodzi, powieść Krasińskiego, podobnie jak egzemplarz Biblioteki Jagiellońskiej spreparowana. W egzemplarzu tym również wycięto nazwisko autora i zaklejono papierem. Ale jest tu też zagadka nie lada, stanowiąca może po jej rozwiązaniu klucz do wyjaśnienia tajemniczych losów książki. Pośrodku karty tytułowej widnieje rękopiśmienna dedykacja, niestety obcięta przy oprawianiu książki przez introligatora. Spłowiała sepia inkaustu i dukt pisma pozwalają się domyślać autografu Krasińskiego następującej treści: Na pamiątkę Lic(eum) Adamowi przyjaciel Zyg(munt).

Zbierzmy dotychczasowe ustalenia: Słynny bibliograf **Karol Estreicher** książki nie oglądał, o czym świadczy błędny zapis w **„Bibliografii polskiej XIX stulecia" (t. II, G—L, s. 473)**: „Grób rodziny Reichstalów". Warszawa 1829, w 8ce". Ciekawy jest komentarz bibliografa, widniejący poniżej opisu bibliograficznego: „Babka autora wykupiła nakład i zniszczyła", bez podania źródła tej informacji. Czubek widział egzemplarz z mechanicznie usuniętym nazwiskiem Krasińskiego jako autora, wreszcie Kallenbach podał opis na podstawie autopsji, nie wskazując jednak, gdzie znajduje się opisany przezeń egzemplarz tego rzadkiego druku.

Pomimo kruchości takiego domniemania, wydaje się, że Krasiński świadomie nie ujawniał swego autorstwa, publikując powiastkę w „Rozmaitościach Warszawskich". Przewidywał być może kąśliwe uwagi uwielbianej zresztą „Babuli". Dmochowski, czy to dla zaskarbienia łask generała Wincentego, czy też dla zaspokojenia próżności własnej szesnastolatka, ogłosił powieść osobno, zapewne w okresie letniej kanikuły, bez wiedzy i woli Zygmunta. Mógł sam poeta oceniać krytycznie swoją pierwszą drukowaną powiastkę i świadomie w ocalałym przed gniewem starościny opinogórskiej egzemplarzu wyciąć swoje nazwisko. Nie przewidywał młody student swej przyszłej wielkiej sławy literackiej. A broszurka, uchodząc przed gniewem pani Antoniny, trafiła po różnych losu kolejach do dziewczęcych rąk w jakiejś niezidentyfikowanej jeszcze bezpłatnej szkółce łódzkiej, by po krótkim posiadaniu przeze mnie przejść do zbiorów znanego łódzkiego bibliofila, kolekcjonera dawnych powieści polskich, **Jerzego Weinberga**. Habent sua fata libelli!

ANDRZEJ KEMPA

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Słowacki zza grobu tragicznym głosem woła:
„Zbyszku, nie dworuj z mego LEWEGO ANIOŁA".

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

POLSKIE NOWELE

Dawno już stwierdzono, że w dzisiejszych — szybko mknących czasach — powodzeniem cieszą się książki niewielkie zarówno pod względem formatu jak i objętości. Na Zachodzie owe „kieszeniówki" nazywa się różnie — „paketami" literatura wagonowa" itp. Nie przesądza to wcale o randze artystycznej książek tak właśnie wydawanych — znajdują się tu bowiem i klasycy i najwybitniejsi autorzy współczesnej doby.

A jednak nasi wydawcy od lat obawiali się książek małych, rezerwując ten rodzaj wyłącznie dla literatury rozrywkowej, sensacyjnej. I właśnie ostatnio coś się w tym względzie przełamało.

Widomym tego przykładem jest ostatnia seria nobliwego ale prężnego i nowoczesnego Wydawnictwa Literackiego. Serial nosi tytuł „Polskie opowiadania współczesne" prezentuje arcydzieła polskiej nowelistyki jak gdyby „w pigułce". Książeczki są poręczne, estetycznie wydane nie przekraczają stu stron druku, kosztują tanio, format mają kieszonkowy...

Ale za to zawartość! Rozpoczynają serię tacy autorzy jak **Tadeusz Borowski, Tadeusz Breza, Bohdan Czeszko, Kornel Filipowicz, Jarosław Iwaszkiewicz, Wilhelm Mach, Kazimierz Pruszyński, Adolf Rudnicki, Wojciech Żukrowski**. To porcja na rok bieżący. Co roku ukazywać się będzie w Wydawnictwie Literackim dziesięć kieszonkowych tomików. To się nazywa dobra popularyzacja współczesnej literatury.

„Polskie opowiadania współczesne", Wyd. Literackie, cena zł 10.—

ODMIANY CZASU

Ukazało się drugie, poszerzone wydanie pięknej i mądrej książki prof. Jana Szczepańskiego — „Odmiany czasu teraźniejszego". Jest to wybór rozpraw i szkiców publikowanych w ciągu minionych 25 lat. Zebrane prace — prawie wszystkie — dotyczą procesów powstawania ustroju socjalistycznego. Ustrój ten — pisze Jan Szczepański — chociaż zmieniał się w swoich wyrazach, to jednak ciągle jest jeszcze kształtującą się teraźniejszością. Ludzie, którzy wystartowali z jego początkami ciągle borykają się z problemami zrodzonymi w latach 1944—1945, nie wszystkie zarysowane wtedy alternatywy i wątpliwości zostały rozwiane. Ciągle więc na nowo odmieniamy czas teraźniejszy, czas socjalistyczny, szukając nowych form dla tej samej rodzącej się rzeczywistości. Mówiąc więc o socjalizmie i jego problemach — mówimy o teraźniejszości.

Książka prof. Szczepańskiego składa się z pięciu części — od publikacji socjologicznych na temat inteligencji, poprzez zagadnienia polityki i rozwoju szkół wyższych aż po refleksje nad takimi problemami jak społeczny koszt pomyłek, asekuranctwo i wygodnictwo, biurokracja itp.

We wstępie do swego dzieła prof. Szczepański pisze: „Publicystyka była dla mnie metodą działania, wskazywania problemów, podnoszenia wątpliwości, pobudzania do refleksji, do rozwagi nad możliwymi skutkami społecznymi zachodzących procesów. Wiele się zmieniło w czasie, który przepłynął między datami napisania tych artykułów i obecnej, ponownej ich publikacji, ale też wiele ludzkich aspektów poruszanych spraw zostało bez zmian, więc decyduję się na ich przypomnienie".

Jan Szczepański „Odmiany czasu teraźniejszego", Książka i Wiedza cena 75 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Misiorny „Sierpień w Getyndze", Wyd. Poznańskie, cena zł 12.—
S. Myśliński „Strzały pod Cisną", MON, cena zł 25.—
B. Żurakowski „Ciało i światło", WL, cena zł 10.—
J. E. Kucharski „Befsztyk z bawołu", Czytelnik, cena zł 36.—
K. Filipowicz „Zabić jelenia", WL, cena zł 10.—
M. Jastrun „Podróż do Grecji" WL, cena zł 30.—
B. Czeszko „Kłopoty władzy", WL, cena zł 10.—
A. Kowalczykowa „Ciemne drogi szaleństwa", WL, cena zł 50.—
R. Wapiński „Władysław Sikorski", WP, cena zł 60.—
A. Świrszczyńska „Szczęśliwa jak psi ogon", WL, cena zł 12.—

WALENTY KATAJEW

MÓJ DIAMENTOWY WIENIEC

(FRAGMENTY)

... w ten sposób, zostawiwszy daleko i głęboko w dole lutową zamieć, która kleiła mokrym śniegiem przednią szybę samochodu, na której z trudem poruszały się tam i z powrotem wycieraczki zgarniając mokre płatki, a auta zdążające w przeciwnym i w naszym kierunku ślizgały się po obwodnicy, my znów wyruszyliśmy w pogoni za wieczną wiosną...

Ostatecznie, po cóż mi ta wieczna wiosna? I czy ona w ogóle istnieje?

Sądzę, że idee wiecznej wiosny (i wiecznej sławy!) zaszczepił we mnie pewien obłąkany rzeźbiarz, z którym kiedyś tam poznałem się w zaułkach Montparnassu, dokąd z sowieckiej Moskwy zagnał mnie los na kilka tygodni.

Był on gwiazdą sezonu. W Paryżu sezon jesienny zawsze jest odnotowany pojawieniem się geniusza-meteorytu, o którym wszyscy krzyczą, a później zapominają.

Byłem świadkiem krótkotrwałej sławy Brunswika. Wydaje się, że tak go właśnie nazywano, ale ręczyć nie mogę. Zawodzi mnie pamięć, mieszam i zapominam nazwiska.

Był on poliglotą i, tak mi się zdaje, mówił wszystkimi językami świata, w tym i po polsku i po rosyjsku — a wszystkimi okropnie, ledwie zrozumiale. Rozumieliśmy się jednak z nim doskonale. Z niewiadomego powodu zwrócił na mnie uwagę — być może dlatego, że byłem wychodźcą z niezrozumiałego dla niego świata sowieckiej Moskwy — i odnosił się do mnie uprzejmie, a nawet przyjacielsko. Już wówczas wydawał się starcem. Wiecznym genialnym starcem. Opowiadałem mu o sowieckiej Rosji, o naszej sztuce i o swych przyjaciołach, jednym słowem o tym wszystkim, o czym przeczytacie w mej pracy, którą w tym czasie zacząłem przepisywać na czysto.

Brunswik, zachwycony moimi opowiadaniami, pewnego razu wykrzyknął:

— Ja was całkowicie rozumiem. Zuchy z was, moi kochani. Nie chcę już tworzyć pomników królów, bogaczy, bohaterów, wodzów i wielkich geniuszy. Ja chcę rzeźbić owych dzielnych. Wy wszyscy — to mój temat. Znalazłem swój temat! Uwiecznię was. Przysięgam, że to uczynię. Muszę tylko znaleźć odpowiedni materiał. Jeśli go znajdę... A jeśli tylko go znajdę... wówczas zobaczycie, co to jest prawdziwa rzeźba. Niech pan uwierzy, że pewnego dnia wiecznej wiosny w Parku Monseau, wśród biało i różowo kwitnących kasztanów, wśród tulipanów i róż ujrzy pan wreszcie owe rzeźby utworzone z niebywałego materiału... jeśli ja go, oczywiście, znajdę...

Poklepał mnie po plecach swą potężną starczą ręką, i obaj roześmieliśmy się.

... obraz Brunswika (czy jak mu tam) zaginął w przepaściach mej pamięci.

Ach, niebieska latarnio wiecznej wiosny wymyślona przez eskiessa w czasach mej młodości.

Eskiess był studentem, Żydem skrywającym swą nędzę. Mieszkał w dużym domu, w dolnej części ulicy Djeribasowskoj, w „drogiej dzielnicy" — lecz w wyższej suterenie dalszej oficyny, obok stróżówki i komórki, w której przechowywano kolorowe iluminacyjne lampki i narodowe biało-błękitno-czerwone flagi wywieszane w carskie święta. Mieszkał razem ze swą matką-wdową. Nikt z nas nigdy nie był w tym mieszkaniu, ani nie widział jego matki. Pojawił się wśród nas w schludnym, wyprasowanym i wyczyszczonym tużurku, w furażerce z niebieskim wyblakłym otokiem. Twarz jego ze sceptycznym żydowskim uśmiechem była podobna do błyszczącego księżyca w pełni. Dumny, ironiczny, czasem zarozumiały i zawsze bezwzględny w ocenach, gdy rzecz dotyczyła wierszy. Był wspaniałym parodystą i do tej pory pamiętam jego parodię wchodzącego wówczas w modę Igora Siewierianina:

„Ktoś mówi, że ze mną jest mąż,
z katedry histori prosektor. Nie
zauważam go dawno już. Nie na niego skierowany jest mój reflektor. Zaraz do mnie przyjdzie jeden eksces, tak nazywam sąsiada z pobliskiej daczy. My spełnimy z nim błogi akt początkowo tak, a potem — po sobaczy".

Swą parodię eskiess śpiewał na modłę Siewierianina, rozciągając samogłoski i w najbardziej ryzykownych momentach mrużył lubieżnie oczy, zmieniając ich wyraz na ironiczno-maślany, niczym greckie oliwki, przy sromotnych słowach „słodki akt".

Był poetą starszego pokolenia i my młodzi poznaliśmy się z nim w tamten letni upalny dzień w półmrocznej sali klubu literackiego, nazwanego żargonowo „literaturką", dokąd Piotr Pilski, znany krytyk, zaprosił poprzez ogłoszenie w gazecie wszystkich początkujących poetów, aby, wybrawszy spośród nich lepszych, wozić ich na pokaz po miejscowych limanach i fontannach, gdzie wymagał, by czytali swoje wiersze w teatrach letnich.

Eskiess był już wówczas uznanym poetą i siedząc na estradzie razem z popularnym Pilskim wysłuchiwał naszych wierszy i wybierał te, które zasługiwały na uwagę.

Podczas takiego selekcjonującego zebrania zaznajomiłem się z ptasznikiem i zaprzyjaźniłem z nim na całe życie.

Oczywiście Piotr Pilski nic nam nie płacił, ale sam nieźle zarabiał na tak zwanych wieczorach młodych poetów, którym przewodniczył i wygłaszał słowo wstępne myląc bezbożnie i nasze nazwiska i tytuły naszych utworów. Przed nim, na stoligu stała zawsze butelka czerwonego mołdawskiego wina, a na jego nieco końskiej twarzy z cynicznymi oczyma było krzywo nasadzone pince-nez na sznurku i ze strzaskanym szkłem.

Razem z nim zawsze siedział ironiczny eskiess.

Sądzę, że uważał się za genialnego i nosił w portfelu list od samego Aleksandra Błoka, który pewnego razu pochwalił jego wiersze.

Robiło mi się strasznie na myśl o jego dalszym losie widząc niejednokrotnie proroczy wyraz jego twarzy wiecznie ironicznej, a nawet cynicznej.

Matka ubóstwiała go. On natomiast bał się jej i kochał gorąco. Ptasznik napisał na niego następujący epigram:

„Mama nie pozwala mi wina
i wódki pić.
Wino popycha w miłosny płomień, a
Siema ma być chłodny jak kamień, słuchać mamci i bez krzyku śnić".

Rzeczywiście nie pił wina i nie miał żadnego głośnego romansu, chociaż był znacznie starszy od nas wszystkich, wówczas jeszcze gimnazjalistów.

Jeden z jego niewielu wierszy (wydaje się, że ten, który przypadł do gustu Błokowi) zaliczaliśmy do arcydzieł. On sam czytał go z namaszczeniem, jak modlitwę:

„Ucichł przypływ. Módlcie się do Boga o obfity połów. Trudna jest droga wśród pienistej zieleni bałwanów. Wciąż chłodniej, wciąż później budzi się zorza. Obłokami przesuwa się wrzesień. Jakichże, porzuceni w otchłani, biedni rybacy doznają śnień? Niebezpieczna czyha czeluść morza. Lecz wie siwy sternik, czuwając za załogę waszą, że święci chodząc po morzu, gwiazd nad wodą nie gaszą".

Nie dopisuje mi już pamięć i niektóre czarodziejskie strofy wymknęły mi się z na wpół zapomnianych wierszy (jak wypadające cegły ze starych zamków Odrodzenia) i muszę zastępować je innymi, własnej kompozycji. Na szczęście jednak najlepsze spośród nich przetrwały.

... wspomniany jest tam także opiekun marynarzy i rybaków, smagłolicy i śnieżnobrody święty Mikołaj...

Nadszedł czas, kiedy jeden za drugim porzucaliśmy rodzinne nasze miasto w poszukiwaniu sławy. Jeden tylko eskiess nie zdradził swej sutereny i starzejącej się matki dyszącej astmatycznie podczas tradycyjnych powrotów z Priwoza, gdy taszczyła koszyk ze skumbrią i sieminiatką, nie zdradził miasta nadpalonego już ogniem rewolucji i na zawsze w nim pozostał; zaczął pracować w jakimś skromnym radzieckim urzędzie, zdaje się, w powiatowym oddziale transportu, nazwanym zabawnym skrótem „Gubtramot", zarzucił pisanie wierszy, a następnie, w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i niemieckiej okupacji zginął wraz ze swą chorą mamą w faszystowskim obozie koncentracyjnym, w rozpalonym piecu z wysokim kominem, skąd dniem i nocą walił tłusty, czarny dym...

... teraz z całej naszej cudacznej republiki geniuszy, proroków, poetów z prawdziwego zdarzenia i przeciętnych wierszokletów, rzemieślników i pechowców, zostałem chyba sam jeden. Bez mała wszyscy udali się do krainy wiecznej wiosny, skąd nie ma już powrotu...

... nie ma powrotu!...

... Lecz uchodząc bezpowrotnie pozostali na zawsze w mej pamięci, jestem skazany na wieczne przebywanie z nimi, a także z wielkimi i małymi geniuszami z innych republik i carstw, którzy obdarzyli mnie swą przyjaźnią, gdyż przyjaźń między poetami to nic innego jak nienawiść przenicowana na drugą stronę.

Nie chcę brać grzechu na swą duszę i dlatego nie nazywam ich rzeczywistymi imionami. Najlepiej uczynię skrywając je pod pseudonimami, które będę pisać z małej litery, jak zwykłe słowa: kluczyk, ptasznik, eskiess... Wyjątek uczynię tylko dla jedynego Komandora. Będę go pisać z dużej litery dlatego, że sam w sobie jest już pomnikiem i wznosi się nad Paryżem poezji wieżą Eiffla, wyrażającą zagadkowe A. Wyniosła litera nad maleńkim drukiem wielkiego miasta.

Zapoznałem się już ze wszystkimi sławami, z wieloma zaprzyjaźniłem się, z niektórymi byłem na ty. Lecz z królewiczem — nie. On przebywał na swym legendarnym wyjeździe zagranicznym wraz ze słynną na cały świat amerykańską baleriną-bosonóżką, która, zachwycona rosyjską rewolucją, wybiegała na scenę moskiewskiego Teatru Wielkiego w czerwonej tunice, z rozwianą czerwoną flagą i tańczyła przy dźwiękach orkiestry swój znakomity taniec — „Międzynarodówkę".

W ówczesnym balecie była ona bez wątpienia nowatorką, Łunaczarski zachwycał się nią. Stanisławski także.

Gwałtowny romans z wielką Amerykanką, który wybuchł na tle purytanizmu pierwszych lat rewolucji, społeczeństwo moskiewskie zaliczyło do skandali, tym bardziej że królewicza i bosonóżkę w wieku balzakowskim dzieliła spora różnica lat. Zupełnie młody świat moskiewskiej cyganerii przyjął ją nieomal, jako staruszkę Natomiast ludzie, którzy ją znali, traktowali ją jako niezwykłe zjawisko i, według ich słów, wyglądała ona o wiele młodziej niż wskazywał na to jej wiek, z lekka zadartym anglosaskim noskiem, z cudownymi włosami, z boską figurą.

Tak czy inaczej rozkochała w sobie riazańskiego poetę, sama w nim zakochała się bez pamięci, i oni polecieli z Moskwy za granicę na duralaminiowym „junkersie" niemieckiej firmy „Lufthansa". Później odbyli tournée po Europie i Ameryce.

Z rzadka docierały do nas słuchy o skandalach, które od czasu do czasu wszczynał rosyjski poeta w Paryżu, w Nowym Jorku, o publicznych awanturach z ekscentryczną Amerykanką, które na Zachodzie przysporzyły niemało reklamy rozpasanemu chłopskiemu synowi, Jankowi Muzykantowi, pięknemu awanturnikowi o tajemnej duszy słowiańskiej.

I oto królewicz rozstał się ostatecznie ze swą bosonóżką i pewnego pięknego dnia znów pojawił się w Moskwie — „jak dandys londyński, ubrany".

Zadrżałem cały: oto on!

Zrozumiałem, że już pierwszego dnia tak szczerze, tak głęboko zaprzyjaźniliśmy się, że bez żadnego skrępowania zapytałem królewicza, po kiego licha pokumał się ze starą Amerykanką, którą, według mnie, absolutnie nie można było pokochać, na co on, prawie obrażony, z uczuciem i ze szklistymi od łez i alkoholu oczami, wykrzyknął:

— Przysięgam ci na Boga, na ten oto krzyż święty! — Poszukał oczyma i przeżegnał się w stronę starej karczemnej ikony. — Chcesz to wierz, nie chcesz — nie wierz: kochałem ją. I ona mnie kochała. Kochaliśmy się. Rozumiesz? A to, że ma czterdzieści lat, daj ci Boże, wyglądać, gdy będziesz miał siedemdziesiąt.

Oparł swą riazańską kędzierzawą głowę na modrej ceracie i zapłakał, mamrocząc:

— ... i jakąś to kobietę czterdziestoletnią... i więcej lat... nazywałem swą lubą..."

Już wówczas, pierwszego dnia naszej przyjaźni, w karczmie... tam, gdzie widziałem teraz stację metro „Kirowska" i pomnik Gribojedowa, przeczuwałem jego straszliwy koniec. Dlaczego? Nie wiem!

Tłumaczyła:
EWA T. GADZINOWSKA

Ostatni numer miesięcznika „Nowyj Mir" przynosi niezwykle interesujące wspomnienia — a właściwie wspomnieniowe impresje — Walentyna Katajewa, autora niezapomnianej powieści „Samotny biały żagiel" — lektury paru roczników młodych czytelników. Jest to opowieść o latach młodości pisarza, o ludziach, których znał i cenił. Przewijają się przez karty tych wspomnień Majakowski, Błok, Pasternak, Jesienin, Ilf i Pietrow... Większość z nich Katajew ukrył pod pseudonimami, ale tak przejrzystymi, że rozszyfrowanie ich nie powinno być dla czytelnika specjalnie trudne — zresztą ów kamuflaż dodaje wspomnieniom specyficznego smaku i może stanowić dla czytelnika swego rodzaju pasjonującą literacką zagadkę.

Walentyn Katajew ma dziś 81 lat — popularność zdobył w latach dwudziestych powieścią satyryczną „Defraudanci", opowiadającą o latach NEP-u. Powieść ta zresztą wydana była w Polsce przed paroma laty. Największy rozgłos przyniosły jednak Katajewowi książki dla młodzieży: „Samotny biały żagiel" i „Syn pułku".

Wspomnieniowe impresje „Mój diamentowy wieniec" wnoszą do twórczości Walentyna Katajewa zupełnie odrębny ton i choćby z tego powodu zachęcamy naszych Czytelników do lektury tej niecodziennej, ciekawej opowieści.

(w)

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 1722. I-10.